NR 38 (1962) 22 WRZEŚNIA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT



CZYSTA WODA
z TVP

Proj. A.Ch.

ISSN 0208-8045
38 INDEKS 379433
9 770208 040450
CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- MOŻE JEDNAK BOGUCKI
- HISTORYCZNY PORADNIK FAJNOPOLAKA

eprasa.pl ede876e26c

REPUBLIKA

Dwóch gości – polityków z różnych ugrupowań. Trzy rundy z konkretnymi pytaniami naszych dziennikarzy. Czwarta runda na wzajemne pytania gości. I na koniec runda z pytaniami od Widzów Republiki z #bitwapolityczna. Szybka wymiana zdań. Krótki czas na odpowiedź. To jest bitwa na słowa – innowacyjny format telewizyjny w Polsce.



CODZIENNIE
14:10
w Republice

Zapraszają
Monika Borkowska i Michał Jelonek

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę obejrzysz w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny proszę sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl ede876e26c



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

„Ja to – powiem ci szczerze – w ogóle tego nie oglądam” albo „W zasadzie tam nie chodzę, no dwa razy byłem, bo mnie poprosili”, albo „Przecież to już nikogo nie interesuje...”.

To pierwsze trzy odpowiedzi, które słyszę najczęściej, prowadząc moje nieoficjalne badania stosunku polskich antypisowców do aktualnej kondycji Telewizji Polskiej (w likwidacji). Najbardziej smakowite są oczywiście rozmowy z tymi wszystkimi, którzy przed grudniem 2023 r. kładli się i wstawali z posmakiem odrazy wobec „TVP PiS” na podniebieniu. Dobrze pamiętam tamte czasy. Pamiętam łamanie rąk nad zawłaszczeniem mediów publicznych przez władzę. Pamiętam okładki opiniotwórczych tygodników z prezenterami „Wiadomości” TVP, których wystylizowano na lektorów „Dziennika Telewizyjnego” z czasów stanu wojennego. Pamiętam aptekarskie liczenie i notowanie, ile czasu na odpowiedź dostał polityk opozycji, a ile przedstawiciel obozu władzy. Pamiętam śmieszkowe konto „Oglądam Wiadomości, bo nie stać mnie na dopalacze”. I pamiętam skądinąd sympatycznego Marka Czyża, który wygłosił pamiętne exposé, że w nowym programie „19.30”, który zastąpił „Wiadomości” po siłowym przejęciu gmachu TVP przez bojówkę ludzi ministra Bartłomieja Sienkiewicza, będzie odtąd królowała „czysta woda”, a nie propaganda.

Ja pamiętam, ale oni wszyscy jakby mniej. Pytani o porównanie wiją się w straszliwych męczarniach i chwytają się wspomnianych formułek w nadziei na zmiłowanie. „Bo wiesz, ja to tego w ogóle nie oglądam, a poza tym to już nikogo nie interesuje”. Bardzo ciekawe, bo wtedy jakoś nie mogli przestać oglądać. I wtedy stan mediów publicznych urastał do najważniejszego probierza stanu polskiej demokracji.

Nie piszę o tym dlatego, że mnie to dziwi. Bo nie dziwi. Piszę dlatego, że nie widzę najmniejszego powodu, by przechodzić nad tą piramidalną hipokryzją do porządku dziennego. Mam też nadzieję, że dziś jest już jasne jak słońce i że każde dziecko w Polsce rozumie, iż piękne hasło troski o los „medium publicznego” zostało użyte jako zasłona dymna do osiągnięcia dwóch celów. Pierwszym było odebranie politycznemu przeciwnikowi jakiejkolwiek możliwości kształtowania narracji medialnej. Z telewizji, radia i agencji prasowej zniknąć musieli ludzie z perspektywy uśmiechniętej władzy niepewni oraz niesterowalni. Właśnie po to, by nie było – tak jak przez wiele lat przed rokiem 2015 – przeciwwagi dla publicystycznego monopolu Polski liberalnej. Drugim celem przejęcia mediów publicznych było odzyskanie lub zdobycie własnych programów, etatów i zleceń w dobrze dofinansowanych mediach państwowych.

Piękne hasło troski o los „medium publicznego” zostało użyte jako zasłona dymna do osiągnięcia partyjnych celów.

W ciągu trzech lat od przejęcia władzy ten drugi cel udało się funkcjonariuszom i sympatykom uśmiechniętej Polski zrealizować. Mają swoje synekury i mocno się ich trzymają. Ale tego pierwszego – Bogu dzięki – (jeszcze) nie zrealizowali. Choć nie ustają w wysiłkach, próbując na wszelkie sposoby zniszczyć media nieliberalne. Ta walka wciąż trwa. I dobrze, by jak najwięcej rodaków było świadomych, co się tutaj dzieje.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl ede876e26c

22.09.2026
WYDANIE Nr
38

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA



Media publiczne w likwidacji

8 **Dałem szansę TVP Info**

12 **Paśnik Augiasza**

16 **Odbić się od dna. Czy z upadłości mogą powstać nowe media?**

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Biesy. Rozmowa z B. Wildsteinem 20

KRAJ

Człowiek, który drażni Tuska 24

GOSPODARKA

Raport SGH i Forum Ekonomicznego 30

ZAGRANICA

Wojna, czyli suwerenność 32

SPOŁECZEŃSTWO

Polskie dzikie peryferia. Pogranicza 36

Człowiek na życzenie 40

KULTURA

Chcemy przekazywać trudne rzeczy w prosty sposób. Rozmowa z członkami zespołu Tabula Rasa 44

Stulecie Konwickiego 48

Orwell dzieciom. Recenzja filmu „Folwark zwierzęcy” 52

HISTORIA

Historyczny poradnik dla „fajnopolactwa” 56

RELIGIA

Abp Fulton Sheen. Życie warte życia 60

ZWIĄZEK

Co w związku 64

Piotr Duda na RDS: „Rząd nawet nie próbuje pozorować dialogu społecznego” 66

Solidarność ponad granicami – historyczne tradycje i współczesne wyzwania 68

FELIETONY:

OKRASKA 7

GAC 11

PŁUŻAŃSKI 63

KRYSZTOPA 71

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 19

KARUZELA Z BLOGERAMI 23

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 28

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 72

PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl ede876e26c

Jak możesz włączyć się W AKCJĘ REFERENDALNĄ dotyczącą Zielonego Ładu?

1 **Wytnij kartę z wnioskiem**
(na odwrocie)
Możesz pobrać ją także skanując kod QR (poniżej)

2 **Podpisz się**

3 **Zbierz podpisy wśród bliskich i znajomych**

4 **Wyślij kartę z podpisami na adres:**
Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

NSZZ Solidarność

Fundacja Promocji Solidarności

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu" i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie"

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną ankietę wyślij na adres:

Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność" ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

eprasa.pl ede876e26c

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Magdalena Okraska

Węgry na zakręcie?

Piszę do Państwa z Peczu, z małego mieszkania w bloku z początku lat pięćdziesiątych. Przez otwarte okno dobiegają mnie zapowiedzi pociągów z oddalonego o jedyne 200 metrów dużego dworca w tym mieście. Na kuchence dusi się leczo – moja autorska, polska wersja, na widok której węgierska gospodyni by zapłakała.

Jestem tutaj pierwszy raz po zmianie władzy. Obowiązująca w Polsce wykładnia sytuacji na Węgrzech – za Viktora Orbána i po odsunięciu go przez obywateli – jest oczywiście wykładnią liberalną. Polak z uporem godnym lepszej sprawy tropi środkowoeuropejskie populizmy, przypisuje im rolę niszczących instytucje państwa, gospodarkę i stosunki międzynarodowe. Węgrów uważa za zaczadzonych zwolenników kogoś, kogo postrzega jak niemalże Łukaszenkę. Kiedy na wiosnę tego roku na Węgrzech odbywały się wybory, polskie dziennikarki liberalne płakały ze szczęścia wraz z liberalnymi Węgrami. Zdarzyło się nawet jednej z nich pojechać do Budapesztu i przechadzać się tam z węgierską flagą.

Tymczasem wygrany Péter Magyar nie jest tak naprawdę politykiem w stylu „zachodnim". Węgrzy żyją pamięcią o nieuczciwym podziale z Trianon i żaden z rządzących nie waży się im tego odebrać, bez względu na swoje osobiste poglądy – które są zresztą często takie same, jak innych współobywateli, bo i czemu miałyby być odmienne. Nacjonalizm węgierski to przyrodzona cecha, wyrosła na dwóch poczuciach – krzywdy (okrojenie terytorium państwa) i niezrozumienia (pływanie w morzu Słowian). Nie jest on podzielany przez radykalne grupki, lecz stanowi bardzo powszechną emocję.

Choć Magyar zabrał się za zmiany – chce choćby wprowadzić dwukadencyjność pełnienia funkcji premiera czy zdemontować dotychczasowe struktury Fideszu (to akurat zwykły rewanżyzm, jakiego dokonuje każda władza po zmianie) – wątpliwe jest, by kraj poszedł zupełnie innym torem. Podczas oficjalnych obchodów Dnia Jedności Narodowej (rocznicy podpisania traktatu) Magyar jednoznacznie określił Trianon jako „głaz ciążący na sercu węgierskości". Wywołał międzynarodowe kontrowersje stwierdzeniem, że „Węgry są jedynym krajem na świecie, który sąsiaduje sam ze sobą". Słowa te odnosiły się do faktu, że w wyniku traktatu miliony etnicznych Węgrów znalazły się poza granicami współczesnego państwa. Choć nie dąży do rewizjonizmu terytorialnego (zresztą – jak miałby?), pojęcie Wielkich Węgier na pewno będzie traktował w kategoriach tożsamościowych i kulturowych. Od etniczności tutaj zresztą także nie da się uciec.

Orbán przegrał wybory przez zasiedziałość. Zmęczenie rządzącymi przychodzi prędzej czy później – a szesnaście lat rządów to naprawdę długo. Dorosło całe pokolenie, które nie pamiętało Węgier bez Orbána. W tym kontekście decyzja o głosowaniu na lśniącą nowością Tiszę była wręcz odruchowa.

A Orbán? Nadal ma bardzo wielu zwolenników, zwłaszcza na prowincji. Stabilizował węgierską gospodarkę po kryzysie z 2010 roku, wprowadził szeroki program wsparcia dla rodzin (dopłaty do zakupu mieszkań oraz zwolnienia z podatku dochodowego dla kobiet wychowujących czworo i więcej dzieci oraz osób do 25. roku życia), konsekwentnie sprzeciwiał się wielu pomysłom Unii Europejskiej, zbudował stabilność polityczną i legislacyjną. Dlatego śmieszą trochę polskie liberalne banały, że „Orbán zniszczył Węgry". W latach 2015–2019 rząd skonsolidował 24 lokalne i regionalne firmy przewozowe w jeden gigantyczny, ogólnokrajowy podmiot pod nazwą Volánbusz. Autobusy jednej jedynej państwowej sieci zaczęły jeździć po najdalszych wioskach kraju.

Węgry są i pozostaną sobą.

eprasa.pl ede876e26c

Temat Tygodnia

DAŁEM SZANSĘ

TVP Info



Proj. K. Karnkowski

Stwierdzenie, że TVP Info jest tubą propagandową rządu, brzmi już właściwie **banalnie**. Postanowiłem dać jej jednak szansę. Oto co z tego wynikło.

Ludwik Pęzioł

By przekrojowo przyjrzeć się publicystyce TVP Info, nie musimy wyważać otwartych drzwi. W kwietniu 2026 roku ukazał się bowiem raport Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji obejmujący monitoring audycji publicystycznych. Jego treść specjalnie nie zaskakuje. „Niestety monitoring wykazał, że w badanym okresie analizowane programy nie spełniały standardów oczekiwanych od mediów publicznych. Publicystyka TVP w likwidacji systemowo faworyzowała narrację obozu rządzącego, naruszając standardy bezstronności i równowagi. Dominującą praktyką było prowadzenie audycji w taki sposób, by udowodnić przyjęte tezy, selektywny dobór gości i tematów, sprzyjanie jednej stronie debaty, marginalizowanie lub deprecjonowanie opozycji, szczególnie Prawa i Sprawiedliwości” – pisali autorzy.

Według raportu najbardziej rażąco propagandowe były audycje „Bez trybu” Justyny Dobrosz-Oracz oraz „Niebezpieczne związki” Natalii Wysockiej-Schnepf i Grzegorza Nawrockiego. Nieco lepiej wypadały formaty oparte na dyskusji przedstawicieli różnych partii w studiu, jak „Bez retuszu”, ale i tam prowadzący wyraźnie stawał po jednej stronie sporu.

eprasa.pl ede876e26c

Zagrożenie

Najciekawszy fragment raportu pojawia się jednak tam, gdzie KRRiT opisuje zasadniczą strategię propagandową TVP Info: „Przebadane programy nie omawiały głównych problemów politycznych i społecznych, ale same wpływały na spolaryzowanie dyskusji politycznej, utrwalając podział na wydumany „obóz naprawy" i hipotetyczny „obóz zagrożenia".

I rzeczywiście – istnienie „obozu zagrożenia" jest tu sygnalizowane na każdym możliwym poziomie: począwszy od oprawy estetycznej programów, z alarmistyczną czerwienią i niepokojącym tłem muzycznym, aż po nachalne łączenie kolejnych wątków z Rosją, mafią, faszyzacją, autorytaryzmem, inwigilacją itd. Z treści programów wyłania się obraz, w którym „obóz zagrożenia" tworzony przez polską prawicę (uzupełniony przez trumpowską Amerykę oraz znienawidzone media z Telewizją Republika i Kanałem Zero na czele) wciąż jest potężną siłą. Ba, tworzy niemal „alternatywne państwo" – wpływowy układ sterujący sporą częścią życia publicznego.

Z kolei „obóz naprawy" znajduje się w pozycji wyjątkowo wygodnej. Od tak przedstawionej grupy właściwie nie oczekuje się skutecznego rządzenia. Wystarczy rozliczać, tropić i niwelować szkody wyrządzone przez poprzednią ekipę. W ten sposób poprzeczka dla władzy zostaje ustawiona niezwykle nisko. A trudno „zawalić" egzamin, w którym niczego się od nas nie wymaga.

Seans wspomnianych programów potwierdza ocenę zawartą w raporcie. „Niebezpieczne związki" to jazda bez trzymanki, w której nie ma już nawet specjalnych prób pozorowania rzetelności. Na wejściu każdego programu dostajemy bez znieczulenia taką dawkę nieskrywanych złych intencji, że wytrwanie do końca wymaga pewnego zaprawienia. Nieco zabawniejsze (choć zapewne niezamierzenie) jest „dzieło" Dobrosz-Oracz. Tutaj sprytne nożyce montażysty potrafią z każdego nielubianego przez prowadzącą polityka zrobić idiotę, a przynajmniej taki jest zamysł. Wystarczy odpowiednio dobrać fragment wypowiedzi, minę, pauzę i reakcję, a widz otrzymuje gotowy obraz człowieka, którego należy wyśmiać, zanim jeszcze zdąży się zastanowić, co właściwie powiedział.

Te dwie audycje rzeczywiście wiodą prym. Ogląda się je przede wszystkim po to, żeby się naładować emocjami. „Niebezpieczne związki" i „Bez trybu" robią to metodą młota pneumatycznego. „Bez retuszu" próbuje być nieco sprytniejsze. Prowadząca zdaje się rozumieć, że aby wywołać emocje u widza, nie trzeba koniecznie samemu ich ostentacyjnie okazywać.

Uwikłanie

Do propagandowego nacechowania programów politycznych wszyscy zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Nie musi ono jednak oznaczać, że na tym kończy się różnorodność oferty. I tutaj pojawiła się pewna nadzieja. W końcu walka z niebezpieczną dla obywateli dezinformacją czy szkodliwymi zjawiskami społecznymi jak najbardziej mieści się w misji mediów publicznych. Można więc było oczekiwać, że przynajmniej tam polityczna pałka zostanie odłożona na bok.

Nic z tego. Na antenie pojawiają się aż dwa programy fact-checkingowe: „Wykrywacz kłamstw" i „Sprawdzamy". Niestety oba uległy pokusie służenia partii – pierwszy nawet specjalnie się z tym nie kryje, drugi robi to nieco bardziej dyskretnie.

W „Wykrywaczu kłamstw" przedstawia się niemal wyłącznie manipulacje lub tendencyjne narracje opozycji. Co ciekawe, problemem nie jest tu zazwyczaj sam proces weryfikowania informacji, bo w wielu przypadkach prostowane są rzeczywiste nieprawdy. Manipulacja zaczyna się wcześniej – na etapie wyboru tego, co w ogóle zasługuje na sprawdzenie. W efekcie widz otrzymuje dość prosty komunikat: kłamstwo ma swoje polityczne barwy i najwyraźniej wyjątkowo dobrze czuje się ono po stronie opozycji.

W „Sprawdzamy" zastosowano metodę nieco bardziej wyrafinowaną. Sprytnie przemieszano treści rzeczywiście dezinformacyjne, często bardzo „bliskie życia" widzów (deepfejki, fałszywe reklamy i różnego rodzaju internetowe oszustwa) z tematami politycznymi. Dzięki temu całość nie wygląda jak partyjna broszurka. Problem pojawia się wtedy, gdy dochodzimy do polityki: fejki i błędne informacje znów pochodzą właściwie wyłącznie od „obozu zagrożenia". Proporcje ›

W TVP INFO „MISJA PUBLICZNA" OKAZUJE SIĘ PRZEDE WSZYSTKIM PAŁKĄ DO OKŁADANIA POLITYCZNYCH PRZECIWNIKÓW.

eprasa.pl ede876e26c

są jednak znacznie mniej nachalne. Na cztery czy pięć prostowanych informacji tylko jedna pochodzi od politycznych przeciwników obecnej władzy. Dzięki temu program „da się oglądać", a w przypadku TVP Info jest to już całkiem sporo.

Równie sprytnie propagandę przemyca „Raport specjalny" Bianki Mikołajewskiej. To format, który krąży wokół tematów rzeczywiście stanowiących zagrożenie dla polskiej racji stanu czy bezpieczeństwa obywateli. Trudno więc mieć pretensje do samego pomysłu. Problem zaczyna się wtedy, gdy „misja publiczna" po raz kolejny okazuje się przede wszystkim pałką do okładania politycznych przeciwników.

Dobrym przykładem jest jeden z ostatnich odcinków poświęcony „alternatywnym terapiom" i szeroko pojętej szarlatanerii i pseudomedycynie. Temat niewątpliwie potrzebny, tyle że moment jego realizacji (tj. weto prezydenckie wobec tzw. lex szarlatan) sprawia, że rzekomo misyjny materiał niemal automatycznie uderza w prezydenta.

Co gorsza, problem nie kończy się na samym politycznym kontekście. Treść programu, mimo ciekawej realizacji i niewątpliwego dopracowania, również potrafi wprowadzać w błąd. Pod wpływem materiału można bowiem odnieść wrażenie, że głównym siedliskiem problemu promocji szkodliwych pseudoterapii są środowiska, wspólnoty i media katolickie. Tymczasem dla każdego, kto choć trochę interesował się tym tematem, powinno być jasne, że szarlataneria na znacznie większą skalę występuje w środowiskach ezoterycznych i New Age, często zresztą zdecydowanie nieprzychylnych katolicyzmowi.

Telewizja dla „lepszych"

Gdyby porównać TVP Info do mediów tożsamościowych z drugiej strony barykady, trudno nie odnieść wrażenia, że jest ona od nich znacznie mniej egalitarna. Kolejne programy publicystyczne systematycznie budują w widzu poczucie wyższości nad polskim ludem poprzez pokpiwanie z „przestarzałej" formy patriotyzmu i przywiązania do tradycji. Przodują w tym „Kwiatki polskie" – „yntyligencka" ironia w relaksującej atmosferze. Nie jest to jednak stara, dobra satyra, która potrafi śmiać się ze wszystkich. To raczej ledwo skrywana bufonada, okraszona wylewającym się z ekranu samozachwytem prowadzących. Widz ma się nie tyle śmiać, ile zrozumieć, że należy do tej części społeczeństwa, która już wie, z czego wypada się śmiać.

W kwestii egalitaryzmu warto również zwrócić uwagę na niewielki kawałek medialnego tortu, który otrzymali zblatowani z liberałami progresywni lewicowcy, często zapraszani do programów, a czasem wręcz je prowadzący, jak Dominika Sitnicka z OKO.press czy współpracownik „Krytyki Politycznej" Przemysław Witkowski. Oni również doskonale zdają się jednak rozumieć swoje miejsce w szeregu. Dobrym przykładem jest Sławomir Sierakowski jako „mózgowiec" zapraszany do ratowania rządu w sytuacjach beznadziejnych. Przy okazji afery w Szpitalu Południowym skoncentrował siłę swojego uderzenia na lekarzu sygnaliście, co trudno uznać za szczególnie lewicowe podejście.

Jak bardzo zły?

Wracając więc do pytania postawionego na początku: TVP Info nie jest porywająca. Jest do bólu przewidywalna. I właśnie ta przewidywalność, w połączeniu z brakiem umiejętności wciągnięcia widza oraz brakiem prawdziwych osobowości w ramówce, wydaje mi się największym problemem stacji. Twarze TVP Info są, mimo wszystko, kilka poziomów niżej niż te, które możemy zobaczyć w innych mediach lewicowo-liberalnych. Cokolwiek by bowiem mówić o gwiazdach dziennikarstwa TVN-u, są one jakieś. Mają własny styl, temperament, charakter. Można ich nie znosić, ale trudno pomylić je z kimś innym. Tutaj mamy po prostu funkcjonariuszy. Nie ma gwiazd. Nie ma ludzi, których chciałoby się oglądać nawet wtedy, gdy człowiek doskonale wie, że za chwilę usłyszy coś, z czym się nie zgadza.

TVP INFO PRZEGRYWA DLATEGO, ŻE JEST PROPAGANDOWA I NUDNA.

I właśnie tutaj, moim zdaniem, należy szukać przyczyn słabej oglądalności TVP Info. Nie w samym nacechowaniu politycznym. Widzowie są w stanie wybaczyć bardzo wiele, jeśli dostają w zamian osobowość, emocje, inteligentną złośliwość albo choćby dobre widowisko. TVP Info nie przegrywa więc dlatego, że jest propagandowa. Przegrywa dlatego, że jest propagandowa i nudna. A to już połączenie wyjątkowo trudne do wybaczenia.

eprasa.pl ede876e26c

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Jest dobrze, a będzie lepiej

Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen wygłosiła na forum Parlamentu Europejskiego w Strasburgu coroczne „orędzie" o stanie Unii Europejskiej. Najważniejszy wniosek? Jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej.

Skłamałbym, gdybym napisał, że spodziewałem się czegoś innego. Teoretycznie Komisja Europejska ma ambicję wyznaczania kierunku wspólnocie 27 państw, którą zamieszkuje niemal 450 milionów ludzi i jest jedną z największych gospodarek świata. Wydawać by się więc mogło, że doroczne „orędzie" to idealny moment na autorefleksję i poważną diagnozę. Jednak nic bardziej mylnego.

W Strasburgu usłyszeliśmy dużo. Nawet bardzo dużo. Tyle że praktycznie żadnych konkretów. Niby szefowa KE mówiła o Europejskiej Radzie Bezpieczeństwa, nowych mechanizmach migracyjnych czy planie dotyczącym upałów, ale bądźmy poważni – skończy się na pustosłowiu. Niby było niemal wszystko, co powinno znaleźć się w dobrze skonstruowanym katalogu współczesnych europejskich problemów, ale zabrakło najważniejszego – poważnego planu i decyzji.

Nic dziwnego. Europejska Służba Badań Parlamentarnych wyliczyła przed tegorocznym orędziem, że obecna Komisja Europejska zapowiedziała już ponad 400 inicjatyw w ramach swoich siedmiu priorytetów. Jednocześnie ta sama analiza wskazuje, że zasadnicze słabości europejskiej konkurencyjności: niepełny jednolity rynek, rozdrobnione rynki energii i kapitału czy podzielony narodowo przemysł obronny, pozostają w znacznej mierze nierozwiązane. Paradoks? Tylko teoretycznie. UE produkuje bowiem inicjatywy szybciej, niż rozwiązuje problemy. Zwłaszcza te, które sama tworzy.

Czego zatem zabrakło w tegorocznym przemówieniu szefowej KE? Mało było o długoletniej perspektywie budżetowej i zasobach własnych UE. Nie było praktycznie niczego o ogromnych kosztach energii i systematycznym osłabianiu unijnej gospodarki. Nie usłyszeliśmy też niczego na temat reformy systemu ETS, o którym rozmowy właśnie się toczą, ani też o nadchodzącym ETS 2.

Europa stoi wobec wojny na Wschodzie, problemu migracji, presji Chin, coraz ostrzejszej konkurencji technologicznej, problemów własnego przemysłu, kosztów transformacji energetycznej i niepewności w relacjach transatlantyckich. Tymczasem zamiast realnych rozwiązań usłyszeliśmy zbiór frazesów. Jednym z nowych pomysłów szefowej KE jest za to zbliżenie z Kanadą, której von der Leyen chciałaby nadać status „członka stowarzyszonego" UE, który nawet nie istnieje obecnie w traktatach.

Wystąpienie szefowej KE było bardzo słabe i składało się głównie z uników. Można odnieść wrażenie, że Niemka była jednak bardzo z siebie zadowolona. Skoro tak, to właściwie po co się czepiać? S

eprasa.pl ede876e26c

Paśnik Augiasza



Fot. Adobe Stock

Na stronie opisującej, jak według Koalicji Obywatelskiej wygląda realizacja „100 konkretów", ten poświęcony telewizji znajduje się nie w bloku dotyczącym kultury, a w zakładce „rozliczenia PiS". To mniejsze zdziwienie. Większym jest to, że Koalicja uznaje tę swoją obietnicę za **całkowicie zrealizowaną**.

Krzysztof Karnkowski

Odpolitycznimy i uspołecznimy media publiczne. Zlikwidujemy Radę Mediów Narodowych. Natychmiast zatrzymamy finasowanie fabryki kłamstw i nienawiści, jaką stała się TVP i inne media publiczne. Zgodnie z naszym zobowiązaniem przeznaczymy 2 mld zł z TVP na leczenie raka – brzmiał prezentowany przez Donalda Tuska „konkret". Obecnie możemy przeczytać, że „w mediach publicznych nie ma już mowy nienawiści. Telewizja i radio spełniają misję publiczną przekazywania rzetelnych informacji, z poszanowaniem widoczności działań wszystkich interesariuszy i scen politycznych. W programach goszczą politycy wszystkich opcji politycznych. Trwa proces restrukturyzacji spółek medialnych, przygotowujących je do zmian na rynku medialnym w Polsce". To, jak bełkotliwym językiem napisano kilka zdań, jest najmniejszym problemem.

Anarchia i dwór

Do TVP pretensję ludzie mieli od zawsze, na ogół słusznie. W czasach PRL przechodziliśmy naprzemiennie przez propagandę siermiężną i ponurą bądź radosną i przebraną

eprasa.pl ede876e26c

w kostium rozrywki. Oczywiście nie należy nadmiernie upraszczać tego obrazu, w każdej epoce zdarzały się produkcje wartościowe i cenne dla kultury narodowej bądź po prostu dostarczające widzom wiedzy lub oddechu, skupiamy się jednak na warstwie informacyjno-publicystycznej.

„pierwszej" Platformy „System 09" czy program Jana Pospieszalskiego „Warto Rozmawiać", który przetrwał przez kilka lat we wrogim, liberalnym otoczeniu jako wyjątek na antenie publicznego nadawcy. Na ogół jednak TVP realizowała model elitarno-dworski, lansując

> TVP REALIZOWAŁA MODEL ELITARNO-DWORSKI, LANSUJĄC LUDZI WŁADZY I ZGODNE Z ICH AGENDĄ IDEE.

III RP przyniosła zmiany duże, lecz niepełne. Owszem, pojawiła się bardziej zróżnicowana publicystyka, a w audycjach gościć zaczęli przedstawiciele szerszego spektrum partii i redakcji, jednak linia redakcyjna, prezentowana przez prowadzących, a powstająca gdzieś w gabinetach ich szefów i obsadzających ich polityków, na ogół była zgodna z potrzebami aktualnej władzy. Zdarzały się momenty nietypowe, jak choćby eksperymenty grupy tzw. pampersów, młodych, konserwatywnych dziennikarzy, którzy próbowali wywrócić postkomunistyczną TVP do góry nogami i zapełnili ramówkę ostrzejszą publicystyką czy alternatywną, często anarchizującą (tak, tak, to właśnie w czasach tej młodej prawicy w państwowej stacji nadawany był w porze wysokiej oglądalności anarchistyczny magazyn „Alternativi") czy przejściowe czasy specyficznych rządowo-telewizyjnych kohabitacji, gdy rozdanie partyjne na Woronicza rozjeżdżało się z tym z Al. Ujazdowskich. Były to krótkie momenty oddechu, którym zawdzięczamy różne zaskakujące cykle czy programy. Takie jak uderzający w fundamenty III RP w samym środku rządów ludzi władzy i zgodne z ich agendą idee. Na wielkie świństwa porywano się od czasu do czasu, jak wtedy, gdy nadano niesławny „Dramat w trzech aktach", paszkwil na braci Kaczyńskich, którego współautor Grzegorz Nawrocki powrócił do telewizji publicznej w ostatnim rozdaniu.

Straszna TV PiS

Polityczne zmiany nie zawsze odbywały się gwałtownie. Ludzie „z drugiego szeregu" czasem byli po prostu przenoszeni na jeszcze głębsze zaplecze, a dziennikarze anten ogólnopolskich trafiali na wygnanie do pasm lokalnych, skąd wyruszali szukać szczęścia w innych, na ogół prywatnych mediach. Gdy PiS przejęło TVP, w błyskawicznym tempie przeprowadzając przez parlament umożliwiające to przepisy, odejścia ówczesnych gwiazd i ludzi pracujących za ich plecami również były mocno rozłożone w czasie. Gdy sam trafiłem do TVP Info i późnym latem 2016 r. uzyskałem dostęp do służbowej skrzynki mailowej, jeszcze długie miesiące trafiały na nią maile od żegnających się pracowników, dziękujących za wszystko pozostającym na Woronicza i pl. Powstańców kolegom. Do pokojów na placu wkraczała tymczasem rewolucja, która szybko okazała się mocno powierzchowna. Z planów zaangażowania zupełnie nowych twarzy i twórców z YouTube'a nie zostało nic, zamiast tego nastąpił desant z TV Republika. Telewizja radykalizowała się w swym przekazie, a proces ten, co dziś często jest zapominane, nakręcały nieformalne bojkoty. Najpierw do Info przestali przychodzić dziennikarze liberalnych mediów, a trochę później spora część klasy politycznej. O przekazie ówczesnej TVP napisano już wiele, wiele też padło głosów, że w dużym stopniu to on wpłynął na wynik PiS w roku 2023 (choć czemu nie w 2019, chciałoby się zapytać?). Jest faktem, że ostatnie miesiące na pl. Powstańców były trudne do zniesienia, a poszukiwanie „cudownej" agendy, która odwróci nieodwracalny bieg zdarzeń, przybierało rozmiary histerii. Po drodze pojawiła się inicjatywa likwidacji TVP Info, pod którą politycy

> W CZASACH PRL PRZECHODZILIŚMY NAPRZEMIENNIE PRZEZ PROPAGANDĘ SIERMIĘŻNĄ I PONURĄ BĄDŹ RADOSNĄ I PRZEBRANĄ W KOSTIUM ROZRYWKI.

eprasa.pl ede876e26c

Platformy zbierali podpisy, lecz której – mając już władzę – nie zrealizowali. I tu dochodzimy do kolejnego problemu.

Najbardziej pechowa ustawa

Jeszcze w czasach opozycyjnych w oparciu o Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i Kongres Mediów Niezależnych (inicjatywa skupiająca prawicowe media, blogosferę i inicjatywy lokalne) pod kierownictwem Krzysztofa Czabańskiego zaczął powstawać projekt nowej ustawy medialnej. Jednym z jego założeń był powracający później pomysł podziału anten radia i telewizji publicznej pomiędzy siły władzy i opozycji. Gdy jednak PiS objęło władzę, a Czabański został szefem powołanej „małą ustawą medialną" Rady Mediów Narodowych, zapowiadana „duża ustawa medialna" nie powstała a dawny pomysł stracił sens, gdy zamiast się podzielić, można było wziąć wszystko dla siebie. W kwietniu 2016 r. PiS przedstawiło pakiet trzech ustaw. TVP, Polskie Radio i PAP miały przestać być spółkami akcyjnymi i zostać przekształcone w państwowe osoby prawne – instytucje mediów narodowych. Miały nimi kierować kadencyjni dyrektorzy zarządzający wyłaniani w konkursach przez Radę Mediów Narodowych. Powstać miał również Fundusz Mediów Narodowych. Równolegle klasyczny abonament miał zostać zastąpiony składką audiowizualną w wysokości 15 zł miesięcznie pobieraną wraz z rachunkiem za energię elektryczną. To miało rozwiązać podstawową wadę abonamentu: nie trzeba byłoby udowadniać, że ktoś posiada telewizor. Pakiet zatrzymał się w Sejmie. Z wielkiego projektu wyjęto tylko jeden element: ustawę o RMN z 22 czerwca 2016 r. TVP w dużym stopniu przeszła jednak na finansowanie budżetowe, co odbyło się pod hasłem wyrównywania strat z powodu braku wpływów z abonamentu. To o te pieniądze opozycja podnosiła wrzask jako „zabrane chorym na raka". I te pieniądze te same partie pompują dziś w publicznego nadawcę bez cienia zażenowania.

> POMYSŁ REFORMY STRACIŁ SENS, GDY ZAMIAST PODZIELIĆ SIĘ, MOŻNA BYŁO WZIĄĆ DLA SIEBIE WSZYSTKO.

Przy czym za Kurskiego szła za nimi potężna modernizacja sprzętu i infrastruktury, ale gdzie dziś trafiają pieniądze, za bardzo nie wiadomo. A stacja wydaje się studnią bez dna. Kolejne ministerstwa płacą jej dodatkowo duże pieniądze za rzeczy, które powinny być wykonywane w ramach misji, jak choćby informowanie o kwestiach bezpieczeństwa w programach śniadaniowych.

> TVP TO WYGODNY PARTYJNY PAŚNIK. NIE ZREZYGNUJE Z NIEGO ŻADNA SIŁA POLITYCZNA.

Czysta woda

Po objęciu rządów obecna koalicja najpierw dokonała zmiany władz TVP bez wcześniejszej nowelizacji ustawy medialnej: 19 grudnia 2023 r. Sejm przyjął uchwałę o „przywróceniu ładu prawnego" w mediach publicznych, a minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz, działając jako reprezentant Skarbu Państwa, odwołał dotychczasowy zarząd i radę nadzorczą TVP oraz powołał nowe organy spółki. To wówczas doszło do siłowego przejęcia mediów publicznych i PAP. Po sporach prawnych wokół tych decyzji i prezydenckim wecie wobec finansowania mediów publicznych minister 27 grudnia 2023 r. postawił TVP w stan likwidacji, podkreślając, że nie oznacza to zakończenia nadawania i może zostać w każdej chwili cofnięte; stan ten utrzymuje się do dziś, choć telewizja normalnie prowadzi działalność i przygotowuje kolejne plany programowe. Prowadzi też szeroką, wyglądająca momentami na przepalanie pieniędzy permanentną kampanię reklamową, choć równocześnie miewa problemy z wypłacaniem pensji pracownikom i współpracownikom. Docelowo rząd chce zastąpić to rozwiązaniem ustawowym w projekcie UC130: zlikwidować Radę Mediów Narodowych i przenieść zasadnicze kompetencje nadzorcze z powrotem do dziewięcioosobowej KRRiT, wybieranej rotacyjnie przez Sejm, Senat i prezydenta; kierownictwo TVP miałoby być wyłaniane w konkursach, a wpływ bieżącej większości ograniczałyby kadencje i rozdzielenie funkcji zarządczych od redakcyjnych. Projekt zakłada również likwidację abonamentu i zastąpienie go ustawowo gwarantowanym finansowaniem budżetowym, w obecnej wersji

eprasa.pl ede876e26c

na poziomie co najmniej 2,5 mld zł dla całego systemu mediów publicznych. Reforma pozostaje jednak nieuchwalona: w 2026 r. trwały kolejne uzgodnienia i spory m.in. z KRRiT oraz resortem finansów, więc TVP funkcjonuje nadal w przejściowym, prawnie wątpliwym i politycznie spornym modelu „spółki w likwidacji", podczas gdy zapowiadany docelowy system nadzoru nie wszedł jeszcze w życie. Tymczasem telewizja za nowej władzy zmieniła się co najwyżej na gorsze, dając antenę jeszcze mocniej uprzedzonym dziennikarzom, a w roli komentatorów przewidywalnie prorządowych publicystów zastąpili miotający obelgi i całkowicie odklejeni artyści, szaleni naukowcy napędzani kompleksami i weterani protestów ulicznych. Krytyczne wnioski przyniósł monitoring publicystyki TVP przeprowadzony przez KRRiT w 2026 r. wskazujący na przewagę negatywnych ocen opozycji, tendencyjne pytania i jednostronny dobór rozmówców. Oczywiście rada ma swoje sympatie polityczne, co pozwala zwolennikom takiego kształtu mediów publicznych zignorować raport. Jednak nawet misja OBWE/ODIHR stwierdziła, że TVP1 i TVP Info nie wypełniały należycie obowiązku bezstronności, relacjonując działania Karola Nawrockiego przede wszystkim w tonie negatywnym, podczas gdy Rafał Trzaskowski był przedstawiany głównie neutralnie lub pozytywnie; w raporcie końcowym napisano wprost o stronniczości przekazu także nadawcy publicznego. Wystarczy zresztą przypomnieć sobie sprawę organizacji debat prezydenckich czy zignorowanie protestów komitetów wyborczych w sprawie wyboru prowadzącej jedną z nich.

Nie będzie niczego

Co dalej? PiS nie ma dziś jednego pomysłu na media publiczne. Nie ma też zresztą pomysłu na własną telewizję, którą partia miała tworzyć po utracie wpływów na Woronicza. Rok temu podczas specjalnego panelu przedstawiono kilka sprzecznych ze sobą planów. Konfederacja trolluje powrotem do ustawy o likwidacji TVP Info, a rządzący ugrzęźli tak samo, jak poprzednicy, tylko w jeszcze brzydszym stylu – choć tu ocena zależy zapewne od politycznych sympatii i antypatii. Jednak właśnie to ostatnie kieruje myśl ku mało optymistycznym wnioskom. W czasach zagrożenia bezpieczeństwa media publiczne są potrzebne, tyle że nie spełniają swojej roli, nie informując (cisza w eterze po nocnym upadku rakiety na Lubelszczyźnie) lub dezinformując (zdjęcie z AI po niedawnym upadku drona nad Bałtykiem). Pełna likwidacja to pomysł szkodliwy, choć dla wielu kuszący – nawet jeśli ograniczyłby się do pozbycia się wyłącznie kanału informacyjnego. Jednak TVP (w mniejszym stopniu również Polskie Radio, często zatrudniające zresztą tych samych dziennikarzy) to wygodny partyjny paśnik. Nie zrezygnuje z niego żadna siła polityczna, w chwili objęcia władzy chcąca docenić swoich działaczy i sojuszników ze świata mediów. Widać to było i w 2015, i w 2023 r. Ten ostatni cofnął jednak stację o 8 lat, gdy wrócili do niej ludzie, których przez dwie kadencje nie było w szybko zmieniającym się technologicznie i formalnie obiegu, uzupełnieni o młodych konformistów. A co wydarzy się po ewentualnej zmianie władzy? Opozycja ma dziś skromne zaplecze dziennikarskie, rozdrobnione na YouTubie lub skupione wokół dwóch konserwatywnych stacji. Czy jednak ich dziennikarze wrócą na Woronicza po okresie trochę większej swobody? Tego też nie byłbym pewny. Stąd obawa, że przyszła TVP będzie miała jeszcze słabsze kadry, co znów da pożywkę chcącym zamknąć ją raz na zawsze.

> PiS NIE MA DZIŚ JEDNEGO POMYSŁU NA MEDIA PUBLICZNE. NIE MA TEŻ ZRESZTĄ POMYSŁU NA WŁASNĄ TELEWIZJĘ, KTÓRĄ PARTIA MIAŁA TWORZYĆ PO UTRACIE WPŁYWÓW NA WORONICZA.

> MINISTERSTWA PŁACĄ DUŻE PIENIĄDZE ZA RZECZY, KTÓRE POWINNY BYĆ WYKONYWANE W RAMACH MISJI.

eprasa.pl ede876e26c

Odbić się od dna.

Czy z upadłości mogą powstać nowe media?

Historia TVP jest historią III RP w pigułce: wszyscy czujemy, że „**dotychczasowa formuła się wyczerpała**”. TVP nie stanęła do walki o rynek platform kablowych i satelitarnych. Nie zdobyła istotnej pozycji na rynku portali internetowych. Nie stworzyła popularnej platformy wideo na żądanie. Każdy nowy, tworzący się rynek oddawała konkurencji, głównie zagranicznej. A na koniec roztrwoniła zaufanie społeczne i udziały w rynku, jakie jeszcze miały jej tradycyjne kanały. To historia porażki pokolenia polityków, którzy wraz z tą kadencją Sejmu odejdą do historii. Upadłość TVP wykracza poza wybieg prawny, jakim była: jest faktycznym opisem jej obecnego stanu jako instytucji. Czy na tych gruzach powstaną jakieś nowe media publiczne?

Szczepan Ruman

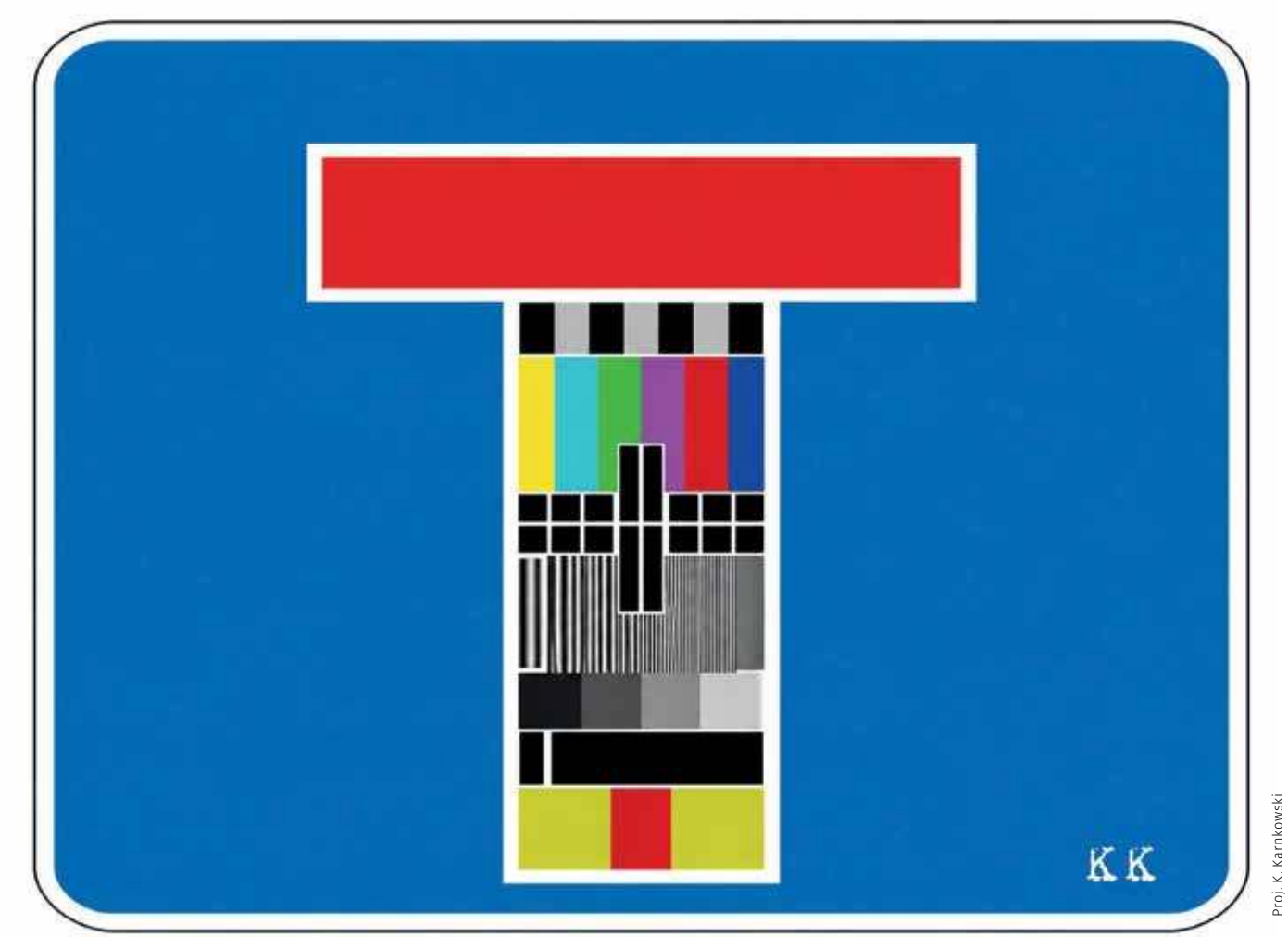

Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl ede876e26c

Twórcy ustawy o radiofonii i telewizji z 1992 roku mieli słuszne poczucie, że obszar ten jest szczególnie istotną warstwą współczesnej demokracji. Jednak nasze media publiczne w sposób najbardziej fundamentalny nie tylko przestały wypełniać swoją rolę, lecz wręcz stały się jej zaprzeczeniem. Ta „upadłość" mediów publicznych domaga się reakcji. Obecna władza trzyma je w stanie śmierci mózgowej, podłączone do aparatury sztucznie podtrzymującej funkcje życiowe. Przyszła władza będzie musiała zdecydować: czy upadłość likwidacyjną zwieńczyć faktyczną likwidacją, czy nowym otwarciem. Wierzę, że nowe otwarcie poprzez przysłanie kolejnego partyjnego popychla nie będzie już możliwe: kompromitacja zaszła już za daleko.

A zatem: jeśli nowe otwarcie, to musiałoby być na poważnie. Czy jednak „misja publiczna" może na nowo zacząć być realizowana? Czy jest jeszcze szansa na media publiczne? Czy jest potrzeba istnienia takowych? Wydaje się, że tak: przestrzeń medialna jest kluczowym obszarem suwerenności państwa. Oprócz rzetelnych informacji należą do niej także kultura, edukacja czy media lokalne. Kraj, którego kulturę, edukację, media lokalne i przestrzeń informacyjną kreowałyby podmioty sterowane z innych państw – byłby krajem dziwacznym. Z kartonu? Być może. Teoretycznym? To chyba właściwsze słowo. Ale jest jeszcze lepsze – to, które ukuli ponad 100 lat temu nasi sąsiedzi: sezonowym. Korzystając ze słownika telewizji: bez instytucji prawdziwie realizujących misję publiczną w obszarze mediów obecny, trzeci „sezon" serialu „Rzeczpospolita" szybko dobiegnie końca.

Jak zatem odbudować media publiczne po dzisiejszej upadłości? Prostej odpowiedzi nie ma, ale można spróbować zakreślić pewne ramy pożądanego obrazu. Po pierwsze: technologia. Radio i telewizja to technologie, za pośrednictwem których przekazywana jest treść. Słowo „medium" oznacza przecież właśnie pośrednika, środek przenoszenia. Media publiczne nie mogą się ograniczać do konkretnych dwóch, starzejących się już technologii. To, że nasze media publiczne przespały kilka rewolucji technologicznych, staje się mniej dojmujące, kiedy uświadomimy sobie, że jesteśmy świadkami kolejnej fali zmian, na którą przegrani w poprzednich falach mogą spróbować się załapać i niespodziewanie odwrócić swój marny los. Technologiami dominującymi stają się obecnie sztuczna inteligencja, portale społecznościowe i platformy streamingowe. Za każdym z tych rozwiązań stoi warstwa czysto technologiczna: tak jak tradycyjna telewizja potrzebowała nadajników i anten, tak platforma streamingowa potrzebuje przestrzeni serwerowych, dobrze napisanych aplikacji i algorytmów. Tę technologię wypełnia się treścią, ale gdy nie ma warstwy technologicznej, to brakuje właśnie „medium", które można byłoby tą treścią wypełnić.

Suwerenność kulturowa, edukacyjna, informacyjna – opiera się dziś, bardziej niż kiedykolwiek, właśnie na technologii. Nowe polskie media publiczne powinny być prężną firmą technologiczną. Technologia jest dziś sercem medium, a nie dodatkiem. Medium, które nie jest sprawne technologicznie i nie potrafi wychodzić naprzeciw trendom rynkowym – szybko staje się medium bez odbiorców. Ta zmiana względem sytuacji obecnej powinna być jednym z paradygmatów nowych mediów publicznych: kluczem do sukcesu jest bycie zwinną firmą technologiczną, która pod kątem nowatorskich rozwiązań nie ustępuje zagranicznym konkurentom. Kto powinien pracować nad polskimi modelami sztucznej inteligencji? Na pewno powinny w takich pracach uczestniczyć polskie media publiczne, bo sztuczna inteligencja coraz częściej staje się dla ludzi źródłem bieżących informacji. Media internetowe właśnie przegrywają tę wojnę: coraz więcej użytkowników nie wchodzi już na tradycyjne strony internetowe czy nawet aplikacje – zadają pytanie swojemu „agentowi AI". „Jakie są najnowsze informacje o atakach sabotażowych w Europie?" – jedno pytanie i użytkownik dostaje zbiór nagłówków i cytatów, który zazwyczaj w zupełności mu wystarcza. Nie odwiedza stron internetowych, nie korzysta z wyszukiwarki, nie wyświetla reklam.

Coraz większa część społeczeństwa czerpie informacje z mediów społecznościowych. Tu „medium" przekazywania informacji jest inny użytkownik, ale także konkretna platforma społecznościowa, czyli

MEDIA PUBLICZNE POWINNY BYĆ ZAMAWIAJĄCYM, WOKÓŁ KTÓREGO KWITNIE CAŁY SEKTOR NIEZALEŻNYCH TWÓRCÓW, ARTYSTÓW, FIRM, FUNDACJI, STOWARZYSZEŃ.

eprasa.pl ede876e26c

technologia. Z kolei zagraniczne platformy streamingowe tworzą rosnącą liczbę polskich produkcji. Może nas to cieszyć, jednak szybko możemy obudzić się w sytuacji, w której dominującymi zamawiającymi treści audiowizualne w obszarze kultury i sztuki w Polsce staną się podmioty zagraniczne – właściciele technologii, jakimi są platformy streamingowe. A przecież Polska ma wiele sukcesów technologicznych na skalę międzynarodową. Są nimi system płatności Blik, sklep internetowy Allegro czy dostawca paczek InPost. Niewątpliwym sukcesem jest też cyfryzacja wielu usług państwowych, takich jak mObywatel czy e-Urząd Skarbowy. Wierzę, że polscy inżynierowie i twórcy byliby w stanie stworzyć również technologiczną firmę medialną, która skutecznie utrzymywałaby popularność, stawiając czoła kolejnym falom zmian na rynku mediów lub wręcz wygrywając na nich.

Jeszcze raz: być może kiedyś, gdy telewizja była technologią dominującą przez długich kilkadziesiąt lat, sama warstwa technologiczna była na obrzeżach firm medialnych, zbudowanych wokół tworzonych treści. Dziś jest inaczej: przy obecnym tempie zmian to technologia staje się sercem firmy medialnej, a bez zwinnego pionu technologicznego nawet rynkowi giganci – i w Polsce, i na świecie – szybko odchodzą w przeszłość. Suwerenność w dziedzinie technologii – centrów danych, algorytmów sztucznej inteligencji, aplikacji dla użytkownika – staje się fundamentem, bez którego nie da się budować suwerenności kulturowej czy informacyjnej. Ta warstwa technologiczna w naszych mediach publicznych w upadłości likwidacyjnej była niemrawa, nie potrafiły one nadążyć za tempem zmian. Upadłość można więc wykorzystać do budowy nowych podmiotów o zupełnie innym charakterze – skupionym wokół technologii.

A jeśli chodzi o treść? W zakresie treści uważam, że postępujące zmiany rynkowe pozwalają się mediom publicznym przesunąć znacznie bardziej na pozycję zamawiającego, a nie twórcy czy producenta. Wraz z rozwojem technologii i upowszechnieniem mediów społecznościowych próg wejścia na rynek produkcji telewizyjnej obniża się. Młodzi ludzie tworzą dziś imponujące produkcje przy pomocy relatywnie niedrogich rozwiązań (oczywiście produkcje wysokobudżetowe wciąż mają swoje miejsce na rynku). Media publiczne powinny być zamawiającym, wokół którego kwitnie cały sektor niezależnych twórców, artystów, firm, fundacji, stowarzyszeń. Przyjęcie roli bardziej oddalonego od samej produkcji zamawiającego osłabiałoby jednocześnie pokusy politycznych ingerencji i ręcznego sterowania zamówionymi u podmiotów trzecich treściami.

W ten sposób media publiczne stałyby się firmą, której pierwszym filarem byłby pion technologiczny, a drugim pion treści we wszelkich formatach, w ramach jednej firmy, bez sztucznego, historycznego podziału na radio i telewizję. W ramach jednej firmy zamawiane byłyby seriale, słuchowiska, podcasty, reportaże, dokumenty czy audycje muzyczne. Trzecim filarem, unikalnym dla mediów publicznych, byłby dostęp do archiwum, który zapewniałyby one polskim twórcom. Mógłby on być oparty na zasadzie, że dla treści zamawianych przez media publiczne lub szerzej: wypełniających misję publiczną – dostęp do archiwum jest bezpłatny. Te trzy filary razem wzięte stworzyłyby instytucję, która buduje najnowsze platformy technologiczne do dystrybucji treści, udostępnia te platformy dystrybucji (media) szerokiemu gronu polskich niezależnych twórców, dysponuje w roli zamawiającego odpowiednim budżetem na zamawianie u tych twórców treści, a jednocześnie zapewnia tym twórcom bezpłatny dostęp do archiwów. Takie media publiczne mogłyby być naprawdę nowym otwarciem.

SUWERENNOŚĆ KULTUROWA, EDUKACYJNA, INFORMACYJNA – OPIERA SIĘ DZIŚ, BARDZIEJ NIŻ KIEDYKOLWIEK, NA TECHNOLOGII.

Pozostaje jeszcze jeden obszar: informacja. Jedna firma radiowo-telewizyjna, która zastąpiłaby dzisiejsze TVP i Polskie Radio, mogłaby mieć bardzo mocną redakcję informacyjną, wraz z serwisami lokalnymi. Dostęp obywateli do informacji jest rzeczą fundamentalną, również z punktu widzenia bezpieczeństwa w dobie narastających zagrożeń sabotażowych i dezinformacji. Jednak upolitycznione, czerstwe informacje na modłę tych, które znamy z TVP – mogłyby zabić cały projekt: mało kto chciałby oglądać nawet najlepsze seriale na platformie kojarzącej się głównie z tępą propagandą. I tu dochodzimy do ostatniego aspektu: ramy prawno-instytucjonalne. Powinny one jak najlepiej oddzielać media publiczne od polityków. Jest na świecie wiele dobrych wzorców takich ram. Życzę polskim politykom i Polsce, aby udało się nam wdrożyć jeden z nich.

eprasa.pl ede876e26c

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

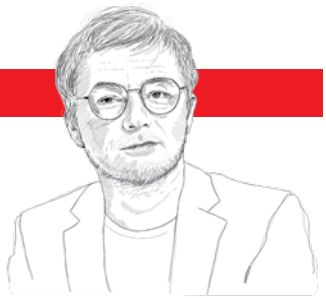

Dajcie mi tytuł, zrobię film

Jan Wróbel

No i nie obejrzałem jeszcze adaptacji „Lalki”! Ani tej kinowej, która ma podobno być normalna, z normalną Łęcką i normalnym Wokulskim. Pewno będzie bardziej jasno, niż u Prusa zaznaczone, że Rzecki został przedstawiony w powieści jako kryptogej (chyba, warto dodać); zobaczymy. Ani tej netfliksowej, w której panna Izabela będzie – jak mówią na mieście – liderką woke. Ona! I może nawet będzie weganką (oj, tylko żal tej sceny z jedzeniem ryb u Łęckich!). Obejrzałem za to „Folwark zwierzęcy” i „Odyseusza”. Zatem: jazda.

Otóż rozumiem pomysł, by co jakiś czas „po bożemu” nakręcić adaptację znanych dzieł. „Lalka” to odwieczny faworyt twórców kanonu lektur. Nawiasem mówiąc, mamy ogromne szczęście z tym Prusem, bo warto toczyć spór z uczniami o czytanie czegoś tak dobrego. Gorzej, kiedy trzeba pochylić się nad „Chłopami” (świetne! tylko że to 1200 stron! z użyciem gwary). Albo nad krótką, ale dziwacznie brzmiącą w młodym uchu „Wierną rzeką” – też ma wśród ekspertów wielkich fanów.

Rozumiem też, że można z pasją zabrać się do polemiki z dziełem. Autorskim, przenikliwym, zawsze denerwującym ortodoksów wiernych oryginałowi, postawieniem z nogi na głowę Dzieła.

„Odyseusz” był takim właśnie przedsięwzięciem. I nie jest kwestią przypadku, że słabsze momenty gigantycznej produkcji, jaką był „Odyseusz”, to te, w których odważnie nie było. Jak powiedziano by w przypadku piłki siatkowej – reżyser cofnął rękę. Bywają dialogi nieoczekiwanie szkolne, mające za zadanie wyjaśnić widzom, co się dzieje albo czym jest ta „epoka brązu”, o której tyle się mówi. Penelopa wygłasza nieoczekiwanie tyradę na temat rządów kobiet w państwie (takie rządy są OK, jakby ktoś nie wiedział). Obrońcy filmu twierdzą, że „tak trzeba”, bo producenci, bo widz amerykański etc. No, może trzeba, ale szkoda.

„Folwark” jest natomiast przedziwny. W części początkowej i końcowej infantylny. W środkowej mroczny, powiedziałbym nawet, że naprawdę. Tylko dlaczego konieczne było wtłoczenie akurat Orwella do uniwersalnej historii o populizmie polityków i zachłanności kapitalistów? Orwell, socjalista z anarchistycznym odchyłem, wbrew znacznej części lewicy Zachodu zaatakował stalinizm. I całe sowieckie wynaturzenie idei socjalistycznej. Jeżeli już tak przemielić jego „Folwark”, to pozostaje zrobić arcydzieło. Ta filmowa adaptacja arcydziełem nie jest. Można było zrobić fajny film bez Orwella, ale... skusił brand.

MOŻNA ZROBIĆ FAJNY FILM O ZŁYM KAPITALIZMIE BEZ „FOLWARKU...”, A O XIX-WIECZNEJ WARSZAWIE BEZ „LALKI”.

Serialowa „Lalka” ma wszystko poprzewracać w narracji Prusa. Oby serial okazał się wielkim, fundamentalnym i wtłaczającym w fotel Prusem 2.0, a nie jeszcze jedną politgramotą lewicy. Ze złymi kapitalistami, obalanym patriarchatem i feministką Łęcką. Bo w takim razie można było po prostu zrobić atrakcyjny film w XIX-wiecznych kostiumach, a Prusa zostawić w spokoju.

eprasa.pl ede876e26c

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

– Jestem winien memu przyjacielowi przynajmniej tyle, aby wyświetlić okoliczności jego śmierci – mówił **Bronisław Wildstein** w rozmowie z Antonim Zambrowskim opublikowanej w **nr. 47 (688) „TS” 23 listopada 2001 roku**. Właśnie wtedy, gdy ujawniono, że Lesław Maleszka krył się pod pseudonimem „Ketman” i przez lata współpracował z SB. Historia zamordowanego Stanisława Pyjasa, tajnego współpracownika wśród jego przyjaciół i ludzi, którzy przez lata próbowali dociec prawdy, stała się jedną z najbardziej wstrząsających historii polskiej opozycji. Rozmowę przypominamy z okazji 45-lecia „Tygodnika Solidarność”.



Biesy

– Wczesnym rankiem 7 maja 1977 roku w Krakowie znaleziono zwłoki studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisława Pyjasa. Władze podały, że spadł on ze schodów i zachłynął się własną krwią. Pan jednak oglądał zwłoki kolegi.

– Przybiegli do mnie wczesnym popołudniem moi przyjaciele z akademika i powiedzieli, że Staszek został zabity. Pierwsze, co zrobiłem, to z moją narzeczoną Iwoną i jeszcze jednym kolegą poszliśmy do prosektorium. Uprzednio byłem w Zakładzie Medycyny Sądowej, ale zostałem spławiony. Powiedziano mi, że zwłoki są w prosektorium, ale tam nie ma wstępu. Znałem warunki życia codziennego w PRL, więc udałem się tam i powiedziałem cieciowi, że jestem najbliższym krewnym Staszka. Dałem cieciowi sto złotych w łapę (pół litra kosztowało znacznie mniej) i on nas wpuścił, otworzył szufladę i pokazał zwłoki Staszka. Zobaczyłem zwłoki człowieka zmasakrowanego.

– Miał zmasakrowaną twarz?

– Zwłaszcza lewą stronę, co jest wynikiem bicia prawą ręką. Dokładniej mówiąc, zmasakrowano mu całą twarz, ale silniej prawą stronę. Łuk brwiowy rozbity jak od ciosu kastetem.

– Z tego wynika, że nie był to skutek zbyt mocnego uderzenia podczas przesłuchania?

– Nie, to był napad. Chcieli go pobić. A gdy bije się zbyt ostro, to można i zabić. To było celowe działanie ubecji. Pamiętam, że trafili wtedy do mnie dziennikarze z Warszawy i jeden z nich, nazwiskiem Roliński, zaczął podchwytliwie: „To co, naczytało się kodeksu Nieczajewa?”. A Nieczajew to był rosyjski nihilista, którego towarzysze zabili jednego ze swoich, jako kapusia, żeby w ten sposób scementować grupę spiskową. (Dostojewski napisał „Biesy” pod wrażeniem tej sprawy). Pomyślałem od razu, że facet jest poinstruowany przez SB. Miano przedstawić nas jako morderców – niby zabiliśmy Staszka, ponieważ kapował. Wyglądało, że esbecja zaplanowała obrzydliwą prowokację. Ta wersja nie była wprawdzie później podtrzymywana, ale mimo to wspomniany wątek kilkakrotnie pojawiał się w tle. Myślę, że spontanicznie ten pomysł nikomu w SB by do głowy nie przyszedł. Zresztą pobito wtedy parę osób z Komitetu Obrony Robotników, m.in. Mirka Chojeckiego. Po naszych majowych manifestacjach pyjasowskich w Krakowie aresztowano i zamknięto z sankcją prokuratorską cały tzw. młody KOR i wypuszczono dopiero na amnestię 22 lipca: być może tej prowokacji ukręcono odgórnie łeb, gdyż uznano to za zbyt ryzykowne. Po pierwsze – mogło to wywołać zbyt duże protesty w kraju, a po drugie – mogło zaszkodzić reputacji Edwarda Gierka na Zachodzie. Jest to oczywiście hipoteza. Wciąż zbieram dane i usiłuję układać je w całościowy obraz.

– Dotarcie do prawdy stało się dla Pana ważnym motywem działalności publicznej na resztę życia?

– Jestem winien memu przyjacielowi przynajmniej tyle, aby wyświetlić okoliczności jego śmierci i starać się dotrzeć do zabójców. Rozwikłanie sprawy śmierci Staszka Pyjasa uważam za swój absolutny obowiązek. Moje możliwości są nader ograniczone, ale jeśli tylko mam jakiekolwiek przesłanki działania, próbuję coś robić w tym kierunku.

– Wszystko, co wyszło na jaw, stało się głównie staraniami Pana i Pana kolegów, mimo przeciwdziałania niektórych dawnych przyjaciół z KOR.

eprasa.pl ede876e26c

– Nie da się ukryć, że niektórzy dawni członkowie KOR dziś sprzeciwiają się naszym działaniom w tej sprawie.

– Oprócz Staszka Pyjasa zabito wówczas jeszcze Staszka Pietraszkę?

– Za mało się o tym mówi, a było to takie samo morderstwo, jak i w pierwszym przypadku. Taka sama obrzydliwa zbrodnia. Słabo Pietraszkę znałem, tylko przelotnie z akademika, natomiast Pyjas był jego przyjacielem. Pietraszko był ostatnim z grona przyjaciół Pyjasa, który go widział za życia i był w stanie sporządzić portret pamięciowy człowieka, który towarzyszył Pyjasowi. Wkrótce po jego oświadczeniu w tej sprawie znaleziono go utopionego w Zalewie Solińskim. Myśmy wiedzieli, że miał on hydrofobię i wobec tego unikał wody, a znaleziono jego zwłoki w... czepku pływackim. Do nas zwrócili się ludzie, z którymi grał on w karty w namiocie nad Zalewem. W pewnej chwili wyszedł na moment się przejść i już nie wrócił. Sekcja zwłok wykazała, że nie utonął sam, lecz go utopiono. Z Bogusiem Sonikiem spotkaliśmy się z tymi ludźmi od kart i oni gotowi byli świadczyć o okolicznościach śmierci Staszka Pietraszki, ale nie przyszli na umówione spotkanie. Boguś Sonik odnalazł jednego z nich, ale on mu powiedział: „Odczepcie się od nas. My nie chcemy mieć nic wspólnego z polityką". Widać było, że ubecja już ich namierzyła i zdołała postraszyć.

– A po co pojechał on nad Zalew?

– Staszek Pietraszko poznał już po śmierci Pyjasa dziewczynę w Żaczku i ona umówiła się z nim nad Zalewem Solińskim. I nie przyjechała. Szukaliśmy jej później, ale ona się rozpłynęła. Kamień w wodę.

– SB zapewne wystawiła ją na wabia.

– Wszystko na to wskazuje. W dodatku w przeddzień śmierci Staszkowi zaginął portfel z dokumentami. Wyraźnie ustalano tożsamość przyszłej ofiary.

– Czy ta historia ma jakieś przełożenie na sprawę Lesława Maleszki, naszego kolegi z SKS?

– Nie. Został on złamany przez SB i zmuszony do współpracy w kwietniu 1976 roku, kiedy bezpieka wzięła się poważnie za nasze środowisko. Tak on mówi i wszystko wskazuje, że to prawda. Postawy Leszka nie chcę komentować. Ona mówi sama za siebie.

– A jak Pan wpadł na pomysł, że to on jest tajnym współpracownikiem SB?

– Przeczytałem na łamach „Tygodnika Powszechnego" z 15 lipca br. fragmenty pracy magisterskiej ubola, który nas inwigilował. Napisał on tę pracę w latach 80. na jakiejś uczelni MSW. Była to praca naukowa z dziedziny inwigilacji. Jako



WYWIAD TYGODNIA

Z BRONISŁAWEM WILDSTEINEM, byłym dziennikarzem klandestynego Studenckiego Komitetu Solidarności, rozmawia ANTONI ZAMBROWSKI

Biesy

3

funkcjonariusz SB miał wgląd w tajne dokumenty do użytku wewnętrznego. Gdy przeczytałem te fragmenty, uderzyła mnie nieobecność wśród inwigilowanego grona Maleszki, który był osobą znaczącą w tym środowisku. Praca zawierała sylwetki najbardziej aktywnych osób z SKS, ale znów bez Maleszki. Wniosek sam się nasuwał – Maleszki nie inwigilowano.

– Niemniej w swej spowiedzi na łamach „Gazety Wyborczej" opowiada on, iż był traktowany przez SB na równi z innymi działaczami SKS: przeszukania, zamykanie na dołku na 48 itp.

– A mimo to w dokumentach do użytku służbowego nie traktowano go jako zagrożenia. Choć z drugiej strony zapłacił on cenę za działalność polityczną taką samą jak my. Był bardzo zdolnym studentem, a nie otrzymał po studiach asystentury na uczelni, wyrzucono go nawet z Jagiellonki czyli biblioteki uczelnianej. A przecież cały czas był tajnym współpracownikiem SB.

– I ubecja nie broniła go przed takimi szykanami?

– W administracji uniwersyteckiej byli ludzie, którzy uważali, że na uczelni nie powinni pracować przeciwnicy ustroju.

eprasa.pl ede876e26c

Gdyby kogoś z nas zatrudniono na uczelni, SB niechybnie by interweniowała i protestowała. Natomiast dla niepoznaki nie podejmowano kroków promujących współpracownika. Prowadzący Maleszkę ubole zachowywali tajemnicę służbową o jego postawie nawet wobec nadzorujących uczelnię funkcjonariuszy. Dzięki temu wiadomość o współpracy Maleszki z SB nie wypłynęła na zewnątrz. Miał kłopoty ze znalezieniem pracy, ale otrzymywał pieniądze od SB na przeżycie.

– Zauważył Pan brak Leszka w inwigilowanym gronie. I co dalej?

– Uderzyło mnie tam parę rzeczy wskazujących na niego. Przede wszystkim sylwetka „Ketmana” pasowała jak ulał do Maleszki. Zadzwoniłem więc do niego i powiedziałem: „Wiem, kto to «Ketman». Czy chcesz o tym porozmawiać?”. Spotkaliśmy się i on mi się przyznał do wszystkiego.

– Od razu się przyznał?

– Tak. Pytałem go o różne szczegóły. W swym tekście w „Gazecie Wyborczej” wspominał, że przyznał się prokuratorowi i jednemu z sygnatariuszy listu działaczy SKS do władz PRL, czyli mnie. Prokurator Krzysztof Urbaniak prowadził sprawę mordu na Staszku Pyjasie i doprowadził do oskarżenia o utrudnianie śledztwa trzech funkcjonariuszy SB. Dwóch z nich skazano.

SYLWETKA „KETMANA” PASOWAŁA JAK ULAŁ DO MALESZKI. ZADZWONIŁEM WIĘC DO NIEGO I POWIEDZIAŁEM: „WIEM, KTO TO «KETMAN». CZY CHCESZ O TYM POROZMAWIAĆ?”.

– Bronił ich Jan Widacki.

– Oczywiście. Widacki z zamiłowania broni ubeków. Broni ich dobrego imienia. Co więcej, Jan Widacki był świadkiem prof. Zdzisława Marka w procesie, w którym zostałem skazany za jego zniesławienie. Chodziło o to, że prof. Marek sporządził ekspertyzę dla władz, z której wynikało, iż Pyjas był ofiarą nieszczęśliwego wypadku (choć sam przyznał dziennikarkom z radia krakowskiego, iż jest sprawą jasną, że Pyjasowi ktoś dał w gębę). Napisałem list otwarty, w którym domagałem się wyrzucenia go z pracy, i zostałem skazany za zniesławienie, Jan Widacki zaś stanął po jego stronie. Opowiadał w sądzie, że jest to osoba o nieposzlakowanej opinii i bezwzględnej uczciwości. Tak mówił o zawołanym ekspercie ubeckim, który był zawsze na skinienie SB, m.in. w Radomiu, w Krakowie zaś zniszczył dokumenty obdukcji pobitych studentów.

– Jan Widacki jest osobą publiczną, związaną politycznie z Unią Wolności.

– Jest on czołowym ekspertem „Tygodnika Powszechnego”. Jego postawa nie wymaga komentarzy. W pierwszym rozdaniu ministerialnym w III RP był on zastępcą m.in. Krzysztofa Kozłowskiego w MSW.

– Sądząc z tego, co Krzysztof Kozłowski napisał teraz w sprawie Lesława Maleszki w „Gazecie Krakowskiej” i na co tak ostro odpowiedział na łamach „Rzeczpospolitej” Józef Ruszar, można powiedzieć, że wart Pac pałaca.

– Dokładnie. To, co napisał senator Kozłowski, przekracza wszelkie granice. I to oświadcza redaktor „Tygodnika Powszechnego”, na łamach którego głoszone są słowa Ojca Świętego Jana Pawła II, iż prawda nas wyzwoli. Tymczasem sam uważa, iż prawda jest sprawą paskudną. I że ci, którzy mówią ludziom prawdę, są donosicielami. Kozłowski oświadczył, iż to my napisaliśmy donos na Maleszkę. On stawia na głowie obowiązujące powszechnie normy dobra i zła. To pokazuje, dokąd zabrnęli obrońcy „grubej kreski”. Ci, którzy demaskują zło, sami zatem zło popełniają. Winny jest bowiem nie ten, kto przez długie lata donosił na przyjaciół, lecz ten, kto nazywa go donosicielem.

Proszę zresztą zwrócić uwagę na swoistą logikę Kozłowskiego. Zamieścił on w swym tygodniku dokument, z którego wynikało, iż w naszym gronie był donosiciel. Wszyscy wskutek tej publikacji byliśmy podejrzani. Gdy teraz wskazujemy po nazwisku tego donosiciela, oczyszczając resztę naszego środowiska od podejrzenia rzuconego przez red. Krzysztofa Kozłowskiego, on oskarża nas o donos. Zachowuje się nikczemnie, gdyż mówi na czarne białe, a przy tym insynuuje coś pod naszym adresem.

– Czy jest Pan usatysfakcjonowany wypowiedzią Leszka Maleszki w „GW”?

– Nie jestem. Oburza mnie szczególnie końcówka jego artykułu, gdzie napomina moralnie społeczeństwo. Chce dwóch rzeczy: aby jego teczka była ostatnią z ujawnionych oraz aby nie było więcej stawiania donosicieli pod pręgierzem. Maleszka nie ma tytułów moralnych do wypowiadania takich apeli. Nie mówię już o dwuznaczności tego, do czego wzywa.

eprasa.pl ede876e26c

KARUZELA BLOGERAMI

FODDER FERDYNAND

SYNDROM OPPENHEIMERA

GDY W LIPCU 1945 ROKU NA POLIGONIE w Nowym Meksyku rozbłysła pierwsza bomba atomowa, w głowie Roberta Oppenheimera objawić miał się werset ze staroindyjskiej „Bhagawadgity": „Teraz stałem się Śmiercią, niszczycielem światów". Frank Oppenheimer, brat Roberta i świadek wydarzeń, zapamiętał je nieco mniej podniośle. Według niego pierwsze słowa Oppenheimera brzmiały po prostu: „Zadziałało. Zadziałało".

Osiem dekad później w Dolinie Krzemowej wezbrała fala obaw o to, czy tym razem nie zadziała aż za dobrze – a przynajmniej tak brzmi oficjalna wersja. Dario Amodei, szef firmy Anthropic, opublikował esej wzywający do skoordynowanego wyhamowania prac nad sztuczną inteligencją i postawienia barier mających uchronić ludzkość przed zagładą. Za 6 do 12 miesięcy, przekonuje Amodei, technologia agentów AI rozwinie się na tyle, że będą oni w stanie przejąć kontrolę nad całym internetem. Co gorsza – ich zdolność do samodoskonalenia sprawi, że nawet nie zorientujemy się, gdy na reakcję będzie już za późno.

Kilka dni wcześniej Jacob Coxon, były już pracownik Anthropic, zarzucił kolegom, że nieodpowiedzialnie dążą do stworzenia superinteligencji, określając dalsze prace jako „igranie z życiem ludzi". Evan Hubinger, kolejny pracownik Amodeia, oszacował publicznie (sobie tylko znaną metodą), że prawdopodobieństwo unicestwienia ludzkości przez sztuczną inteligencję w ciągu najbliższej dekady przekracza 10 procent. Niepokój zawisł w powietrzu. Internet eksplodował. Media rzuciły się do promocji najnowszego Końca Świata™.

Zarówno Elon Musk, jak i Sam Altman, najwięksi konkurenci Amodeiego, zadeklarowali pełne poparcie dla opcji „spowolnienia". Altman w sposób szczególny odnajduje się w roli przeklętego geniusza – porównywał się w przeszłości do Oppenheimera, zrównywał pracę nad modelami LLM z Projektem Manhattan, zwracał uwagę rozmówcom na biograficzny zbieg okoliczności: on i Robert Oppenheimer urodzili się tego samego dnia, 22 kwietnia.

Bezpieczeństwo stało się już wymówką dla opóźnienia debiutu giełdowego OpenAI – debiutu, który wymagałby ujawnienia szczegółowych informacji o kondycji finansowej firmy, jej wynikach, ryzykach, strukturze biznesu i perspektywach dalszego wzrostu. „Uważam, że biorąc pod uwagę wszystko, co dzieje się obecnie wokół bezpieczeństwa, wejście na giełdę właśnie teraz byłoby nierozsądne" – powiedział w wywiadzie dla magazynu „Fortune" Altman.

Co złośliwsi doszukują się w rozpętywanej panice drugiego dna. Sektor sztucznej inteligencji pozostaje w centrum zainteresowania kapitału, jest także kluczowym frontem nowej zimnej wojny – a mimo to mierzy się z coraz większą presją. Skończyły się czasy taniego pieniądza, stopy procentowe są dziś wyższe, a inwestorzy coraz częściej zadają pytanie, na które w okresie największej gorączki nikt nie znajdował czasu: kiedy właściwie te wszystkie miliardy zaczną się zwracać?

Nowe modele wymagają coraz większych klastrów obliczeniowych, kolejne klastry – coraz większych centrów danych, a te z kolei potrzebują energii, sieci przesyłowych, infrastruktury. Trwający wyścig kosztuje krocie; AI zarabia, ale wciąż za mało. Pal licho, jeśli obiecana rewolucja faktycznie czeka tuż za rogiem. Co jednak, jeśli kolejne miliardy kupować będą jedynie marginalne ulepszenia?

Narzucony odgórnie hamulec może być nienajgorszym sposobem na zredukowanie strat i urealnienie obietnic bez utraty twarzy. Tym bardziej że wprowadzanie ograniczeń prawnych uderzy w małe start-upy – w tych wszystkich, którzy „przyszli na gotowe" – i pozwoli zatrzasnąć za sobą drzwi. W imię ratowania świata, oczywiście. Trzymamy w rękach bombę atomową, uważajcie, bo wszyscy zginiemy!

Ze wszystkich wizji, które kłębią się dziś w głowach kandydatów do oppenheimerostwa, jedna zapewne straszy bardziej niż pozostałe. Ta, w której efekty swojej pracy musieliby skwitować: „Nie zadziałało. Nie zadziałało". Lepiej się nie spieszyć.

eprasa.pl ede876e26c



Człowiek, który DRAŻNI TUSKA

Zbigniew Bogucki wydaje się dziś głównym kandydatem do objęcia funkcji szefa rządu, jeśli prawica przejmie władzę po przyszłorocznych wyborach. To polityk, który jest absolutnym **przeciwieństwem** obecnego premiera, dlatego tak bardzo budzi jego strach.

Mariusz Staniszewski

eprasa.pl ede876e26c



Fot. Jakub Porzycki / Forum

Choć oficjalnie w Prawie i Sprawiedliwości wszyscy temu zaprzeczają, to po cichu przyznają, że projekt o nazwie „kandydat na premiera Przemysław Czarnek" dobiega końca. Oczywiście niewielu w partii chciałoby poniżenia byłego ministra edukacji, więc zamiast nagłej rezygnacji z kandydata, następuje powolne wygaszanie. On sam jeszcze jeździ po kraju, wypowiada się, komentuje działania rządu z wielką żarliwością i zaangażowaniem, ale to już tylko pozory. A dokładniej element przedłużonej kampanii wyborczej, w której lubelski polityk odgrywa swoją rolę.

W partii przyznają, że miał swoją szansę, ale jej nie wykorzystał. On i wspierający go politycy długo namawiali Jarosława Kaczyńskiego, by wysunął wyrazistego kandydata na premiera, który miałby powalczyć o wyborców Konfederacji. W rzeczywistości chodziło bardziej o jasne zakomunikowanie Mateuszowi Morawieckiemu, że nie jest faworytem w wyścigu na szefa przyszłego prawicowego rządu. Grupie „maślarzy" Czarnek posłużył więc jako taran do wypchnięcia byłego premiera z partii. Gdy operacja ostatecznie się powiodła, jego znaczenie znacznie spadło. Nie tylko przestał być potrzebny, ale uznano go za jednego z winowajców katastrofalnego dla PiS rozłamu.

Profesor z Lublina poniósł więc podwójną porażkę. Mimo radykalnych propozycji i ostrego języka nie odzyskał wyborców, którzy wyemigrowali do Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej. Zamiast tego jego kandydatura osłabiła PiS, które w notowaniach systematycznie spada poniżej dwudziestu procent poparcia.

Innymi słowy – dostał od Jarosława Kaczyńskiego szansę, ale zadania nie wykonał. Teraz więc pozostaje już tylko kwestia sposobu wycofania się z honorem.

PROJEKT O NAZWIE „KANDYDAT NA PREMIERA PRZEMYSŁAW CZARNEK" DOBIEGA KOŃCA.

Wyścig na radykalizm

Ale misja profesora Czarnka nie powinna zostać uznana za czas stracony. Doświadczenia jego kilkumiesięcznej aktywności muszą dać do myślenia partyjnym strategom, którzy przygotowują się do przyszłorocznych wyborów. W wyścigu na radykalizm PiS jest niewiarygodne i nigdy nie wygra ze Sławomirem Mentzenem i Grzegorzem Braunem. Próbując ich naśladować, jedynie utwierdza swoich wyborców w przekonaniu, że nie ma sensu popierać PiS. Skoro partia Kaczyńskiego uznaje swój dotychczasowy kurs za błędny, a osiągnięcia za porażki, to znaczy, że próbuje zmienić tożsamość. Tym jest przecież wizerunkowa dominacja w PiS Patryka Jakiego, Dariusza Mateckiego, Jacka Ozdoby czy Tobiasza Bocheńskiego. Jednak tego rodzaju operacja jest dla każdej formacji wyjątkowo niebezpieczna, gdyż w ten sposób znacznie łatwiej wyborców stracić, niż zyskać.

Proces rozpoczął się zresztą już wcześniej, gdy na kompletny margines zostali zepchnięci Ryszard Legutko, Zdzisław Krasnodębski czy Jacek Saryusz-Wolski. Ich miejsce mieli zająć młodsi politycy, którzy tchnąć mieli w formację nowe życie i dynamikę. Wiedzę i doświadczenie zastąpiły jednak efekciarstwo i kręcenie rolek. Efektywności od tego nie przybyło, ale za to odcięto się od prawicowej inteligencji, którą wcześniej do PiS zraził Jarosław Gowin jako wicepremier i minister nauki.

Jeśli więc Przemysław Czarnek miał być odpowiedzią na nowe ›

eprasa.pl ede876e26c

wyzwania, które stoją przed PiS, to podjął się misji straceńczej. Nie dlatego, że brak mu determinacji i wiedzy, ale po prostu postawiono błędną diagnozę i wyznaczono niewłaściwe cele.

Zadania tego nie wykonałby zresztą także Mateusz Morawiecki, gdyż zbyt świeże są wspomnienia jego rządów. Nie chodzi nawet o to, że nie miał osiągnięć – tu akurat ma się czym pochwalić – ale po prostu nastąpiło przewartościowanie w polityce. Wyborcy chcą czegoś i kogoś innego.

Nowa twarz prawicy

Nie chodzi tu wcale o prosty radykalizm, którego egzemplifikacją mają być Grzegorz Braun czy Sławomir Mentzen. Celem sfrustrowanych prawicowych wyborców jest raczej chęć odzyskania własnego kraju i uwolnienie się od lewicowych szaleństw. Mają dość traktowania ich jako kolorytu polityki, gdyż uznają to za patologie, które zbyt daleko odbiegły od normy.

Kluczem do sukcesu nie jest więc prowadzenie krucjat skierowanych przeciw Ukraińcom, Unii Europejskiej, gejom nazywanym dla zaostrzenia przekazu „sodomitami", ale odejście od poprawności politycznej i przywrócenie jasnych, tradycyjnych zasad, które zapewniały społeczeństwom spokojny byt i rozwój. To zasadnicza różnica w pojmowaniu polityki. Nie ma ona polegać na piętnowaniu kogokolwiek, ale na afirmacji normalności.

NAWET OSOBY O ODMIENNYCH PRZEKONANIACH ZDAJĄ SOBIE SPRAWĘ, ŻE SPÓR Z BOGUCKIM NIE PRZERODZI SIĘ W SZERMIERKĘ WYZWISK.

Polityk wchodzący na tę ścieżkę nie musi wiecznie krzyczeć i być oburzony, ale powinien raczej ze spokojem, kulturą i konsekwencją obnażać idiotyzmy współczesnej lewicy. Tym właśnie Zbigniew Bogucki fundamentalnie różni się od Przemysława Czarnka.

Łączy kilka bezcennych dla polityka cech: wewnętrzną siłę, determinację, merytoryczne przygotowanie, ale także spokój, opanowanie i żelazną konsekwencję. Nie próbuje zabierać głosu w każdej sprawie, ale skupia się na tym, co najważniejsze. Jego przeciwnikiem jest głównie Donald Tusk. W zasadzie nie wchodzi w spory z jego ministrami, gdyż uznaje – słusznie zresztą – że to za niska dla niego szarża.

Trzymając nerwy na wodzy i posługując się dobrze językiem polskim, doprowadza premiera do wrzenia. Drwi z niego bez obrażania go, punktuje bez podnoszenia głosu, pokazuje hipokryzję z uśmiechem na twarzy.

Kiedy Przemysław Czarnek wali cepem, Bogucki używa skalpela. Nie wdaje się w prymitywne pyskówki, które premier tak uwielbia. Nie daje się sprowadzić do poziomu prymitywnych oskarżeń, pogróżek czy insynuacji, które są PR-owskim orężem obecnej władzy.

Chodzi o coś więcej

Gdy politycy obu Konfederacji powtarzają, że PiS i PO to jedno zło, nie porównują dokonań obu partii. Mają raczej dość sporu między tymi formacjami, który przybrał formę patologiczną. Walka toczy się o wszystko: Trybunał Konstytucyjny, ambasadorów, cenę paliwa, telewizję, prokuraturę, winnych afery Zondacrypto, informacje o zagrożeniu Polski ze strony Rosji czy nawet procedury zestrzelenia rosyjskich dronów i rakiet.

W POLSKIM ŻYCIU PUBLICZNYM, KTÓRE W DUŻEJ MIERZE OPIERA SIĘ NA UJADANIU, PUSZENIU SIĘ, WIESZCZENIU KOŃCA ŚWIATA I OSKARŻANIU O ZDRADĘ, ZBIGNIEW BOGUCKI EMANUJE POWAGĄ I ZAWSZE DBA O STYL, CO JEST W NASZEJ RZECZYWISTOŚCI CECHĄ RZADKĄ.

Podgrzewanie tego konfliktu jest elementem strategii obu partii na zajmowanie uwagi możliwie

eprasa.pl ede876e26c

największej liczby wyborców. Tylko w ten sposób obie formacje utrzymują dominujące pozycje. Przemysław Czarnek idealnie wpasował się w ten scenariusz, atakując Tuska na wszystkich możliwych polach. Radykalizując przekaz, miał nadzieję, że przeciągnie na swoją stronę sympatyków Brauna, Mentzena i Bosaka.

Nic takiego się jednak nie wydarzyło, bo tu właśnie tkwi fundamentalny błąd. Wyborcy obu Konfederacji mają już dość tego duopolu i dążą raczej do przeniesienia sporu na inny poziom. Do odejścia od osobistych animozji i zwierzęcej niechęci, a skupienia się na rzeczywistych problemach. Ta strategia przyniosła sukces Karolowi Nawrockiemu, a Zbigniew Bogucki stara się kontynuować tę linię. Nie bierze udziału w wyścigu na wyzwiska i inwektywy, ale trzyma się konkretów, które są dla Donalda Tuska wyjątkowo niekorzystne.

Przywrócić powagę

W polskim życiu publicznym, które w dużej mierze opiera się na ujadaniu, puszeniu się, wieszczeniu końca świata i oskarżaniu o zdradę, Zbigniew Bogucki emanuje powagą i zawsze dba o styl, co jest w naszej rzeczywistości cechą rzadką.

Jako jednego z niewielu polityków można by go zaprosić do domu bez obaw, że wybuchnie gorsząca kłótnia. Nawet osoby o odmiennych przekonaniach zdają sobie sprawę, że spór z Boguckim nie przerodzi się w szermierkę wyzwisk.

Jest typem mężczyzny, którego wiele matek widziałoby jako męża dla swoich córek, a to w polityce jest kapitałem wyjątkowo rzadkim, gdyż przyciąga ogromną grupę wyborców. Podobne zaufanie przez dłuższy czas budził Mateusz Morawiecki, co także zapewniało mu ogromne poparcie.

To zresztą bardzo charakterystyczne, że wśród głównych działaczy Koalicji Obywatelskiej nie ma ani jednego polityka, który posiadałby takie cechy. Adam Szłapka, Cezary Tomczyk, Marcin Kierwiński czy Arkadiusz Myrcha to raczej typy cwanych politycznych karierowiczów, którzy nie przejawiają żadnych cech charakteru poza służalczością. Radosław Sikorski to bufon o wiecznie niespełnionych ambicjach, Rafał Trzaskowski zaś to ciągle przegrywający leń, który mimo blisko pięćdziesięciu pięciu lat nadal udaje młodziaka. Wobec nich Bogucki znajduje się na przeciwnym biegunie.

Dużym atutem szefa Kancelarii Prezydenta jest zdystansowanie się od PiS. Jako frontman Karola Nawrockiego reprezentuje obóz zwycięzców, który uczestniczy w grze o najwyższe stawki. PiS pogrążyło się zaś w wewnętrznych sporach, które odbijają się na mobilizacji i zdolności do reagowania na zmieniającą się dynamicznie sytuację w Polsce.

DUŻYM ATUTEM SZEFA KANCELARII PREZYDENTA JEST ZDYSTANSOWANIE SIĘ OD PiS. JAKO FRONTMAN KAROLA NAWROCKIEGO REPREZENTUJE OBÓZ ZWYCIĘZCÓW, KTÓRY UCZESTNICZY W GRZE O NAJWYŻSZE STAWKI.

Gdy Przemysław Czarnek zmaga się z Mateuszem Morawieckim, prezydencki minister toczy spór z Donaldem Tuskiem czy Włodzimierzem Czarzastym. Bogucki ma świadomość, że ma za sobą najsilniejszego polityka w kraju, który całą koalicję przyprawia o zawrót głowy – nie tylko rosnącym poparciem, ale także odmiennym, poważniejszym sposobem uprawiania polityki oraz inną perspektywą czasową. Gdy koalicja wchodzi w kampanię wyborczą, Karol Nawrocki ma jeszcze cztery lata spokojnego rządzenia w pierwszej kadencji.

BOGUCKI MA ŚWIADOMOŚĆ, ŻE MA ZA SOBĄ NAJSILNIEJSZEGO POLITYKA W KRAJU, KTÓRY CAŁĄ KOALICJĘ PRZYPRAWIA O ZAWRÓT GŁOWY.

Wydaje się także, że jako przedstawiciel głowy państwa Bogucki będzie jedynym politykiem, którego na szefa rządu może zaakceptować cały obóz prawicy.

eprasa.pl ede876e26c

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO

Nomen omen Cudak



Sławomir Jastrzębowski

Po pierwsze – nie śmiejemy się z nazwisk, ponieważ to wysoce niestosowne (chyba że skrycie). Po drugie – gdzieś się jednak jakoś o tę łacinę otarliśmy, Zeus raczy wiedzieć, po co. Pamiętamy, że „nomen omen" to „imię jest wróżbą" lub „imię jest znakiem". I wtedy, kiedy my pamiętamy, właśnie wtedy, proszę Państwa, na scenę wchodzi cały na biało Cudak, Cudak Sławomir, wstrząśnięty, całkiem zmieszany. Wchodzi i mówi, że on uważa osobiście, iż to on rektorem Akademii Wymiaru Sprawiedliwości jest. Jakie to wszystko zachwycające! Radość wypada przepracować dla duchowego wzmocnienia i pożytku politycznego. Do dzieła zatem. Do dzieła!

Rys czy tam podbudowa teoretyczna łącząca się z tym „nomen omen" może się przydać. Może uda się w jakimś towarzystwie błysnąć albo co? Otóż zwala się to powiedzenie na Plauta, choć zapewne samo mu do głowy nie przyszło, tylko zasłyszał i wykorzystał w komedii. Szubrawiec z niego lekki był, nie da się ukryć. Odrobina smrodku pedagogicznego upoważnia nas do nieco zbędnego przybliżenia oddalonego wiekami rzymskiego komediopisarza zmarłego ok. 184 roku przed naszą erą. Z Plauta pamiętam, że dorobił się majątku na komediach, których nie wymyślał, tylko podkradał greckie pomysły, przerabiał nadając im język brutalny, niewyszukany, ordynarny, co zawsze zwiastuje sukces. Znał się na tym, majątku się na tym dorobił, ale postanowił pieniądz zainwestować w handel morski, na czym się nie znał, więc zbankrutował. Cudak jeden. Nie o to chodzi. On swoim bohaterom dawał takie nazwiska, że od razu wiadomo było, czego, jakiej cechy charakteru, jakiego temperamentu czy jakiej to dysfunkcji się po nich spodziewać. Nomen omen.

Sławomirowi Cudakowi nikt nazwiska nie wymyślił, takie po prostu ma, nomen omen. Ale, ale... Kilka wierszy zużyć trzeba na wyjaśnienie ogólne i chronologiczne sytuacji, bo nie każdy musi śledzić na bieżąco, jak zaciekle kadry akademickie walczą o fotel rektora w udręczonej Polsce.

Nie przesądzamy, kto ma rację, czyli kto jest rektorem Akademii Wymiaru Sprawiedliwości w Warszawie, akademii kształcącej kadry Służby Więziennej, choć swoje zdanie na ten temat mamy. Na pewno był nim, a może nawet dalej jest, Michał Sopiński, który jednak kojarzony był z PiS, więc po zmianie władzy w 2023 roku wielu dygnitarzom stawał żurkiem w gardle. Z przyrodzoną sobie subtelnością minister sprawiedliwości Waldemar Żurek postanowił go odwołać, chociaż nie mógł, bo Trybunał Konstytucyjny wydał zabezpieczenie, że nie, a uczelnie cieszą się autonomią i rektora wybierają ze swojego grona. Jednak Waldemar Żurek twierdzi, że mógł, że Trybunału Konstytucyjnego nie ma i będzie dopiero, jak Maciej Berek od Tuska zacznie rządzić, a poza tym autonomia to nie tutaj i tyle, bo prawem jest policja. Na nowego rektora, czy też pełniącego obowiązki rektora, wytypowano postać zachwycającą – Cudaka Sławomira. W akademii doszło do przepychanek, nieco podobnych do tych, które obserwowaliśmy przy nielegalnym przejmowaniu telewizji czy PAP-u w 2023 roku. Na miejscu byli dziennikarze, którzy uświada-

> W RUŻOMBERKU HABILITACJĘ MÓGŁ ZROBIĆ NAWET I BONOBO, ALE POD WARUNKIEM, ŻE WIELOZNACZNIE I KONSEKWENTNIE MILCZAŁ.

eprasa.pl ede876e26c

miali panu Sławomirowi Cudakowi, że nie jest żadnym rektorem, tylko uzurpatorem, i wtedy profesor z tego stresu się spocił. Te szczegóły są ważne, ponieważ budują ogólną konstrukcję sprawowania władzy przez tę władzę rękoma ludzi specyficznych wybieranych do władz. No więc się spocił, ale jak! Całą koszulę miał mokrą, kapiącą, przylepną. Widzieliśmy, bo marynarkę zdjął. Nienajlepiej radził sobie z ofensywą dziennikarzy. Riposty, którymi próbował fechtować, na stępione wskazywały ostrze. Nie miejsce i czas poddawać analizie detale dnia przejęcia uczelni, ale na uwagę zasługuje fakt skakania przez profesora (w zasadzie doktora habilitowanego w turystycznych okolicznościach, ale o tym za chwilę) po wersalce (tak, tak, skakał po wersalce, próbując dostać się do wymarzonego pokoju rektora) oraz zamknięcie się przez niego w toalecie, z której przeprowadzał głośne rozmowy telefoniczne. Z obowiązku dodam, że pan Cudak zamknął się w toalecie dla niepełnosprawnych, choć miał na podorędziu toaletę dla sprawnych. Jak to interpretować? Otóż w ostatniej chwili powstrzymałem się przed wyjaśnieniem tej sytuacji, bo stronom przyniosłoby to ujmę.

Tu zdań kilka o Sławomirze Cudaku, który mówi, że jest rektorem AWS. Otóż z wykształcenia początkowego jest inżynierem, potem ojciec nakierował go na pedagogikę, a jeszcze potem, po tym pierwszym potem, zrobił habilitację na Słowacji. Czemu na Słowacji? Ano właśnie. Złe języki, których na świecie nie brak, sugerują, że na Słowacji w tej właśnie akademii w Rużomberku (miasto ma 25 tys. mieszkańców), to habilitację mógł zrobić nawet i bonobo (szympans karłowaty), ale pod warunkiem, że wieloznacznie i konsekwentnie milczał, bo inaczej to by się wydało. Nie wiemy jednak, czy były tam takie przypadki, ale wiemy, że owa uczelnia jest porównywana do niesławnego Collegium Humanum.

W każdym razie w budynku Akademii Wymiaru Sprawiedliwości w Warszawie rządzi aktualnie pod opieką policji, która zabezpieczyła gmach, pan Sławomir Cudak, zwalniając dyscyplinarnie ludzi, którzy nawet nie przyszli do pracy, ale mogliby mu zagrozić w głosowaniu, więc lepiej zwolnić.

Nomen omen pan profesor Cudak udzielił wywiadu w telewizji, która bezskutecznie próbuje się zlikwidować, a jego słowa harmonizowały. Powiedział rzeczy istotne o swojej świadomości w procesie: „Nie interesowałem się całą procedurą czy powodami odwołania. Nie jestem prawnikiem i nie jestem w stanie tego ocenić. Natomiast mam wiarę, że to w ministerstwie uczyniono na tyle ostrożnie, na tyle prawnie, że nie budzi to żadnych wątpliwości". Człowiek zawierzenia!

Czyż nie jest to zachwycające? Profesor Cudak dołącza do grona ludzi pokroju wiceminister klimatu i środowiska Urszuli Zielińskiej, jej szefowej Pauliny Hennig-Kloski, ministra rolnictwa Stefana Krajewskiego i długo, długo by jeszcze wymieniać ten specyficzny rys tej specyficznej władzy. Niemniej ma przewagę, nazwisko, które natychmiast się zapamiętuje i łączy z osobą, która Syzyfem walczy o powagę i dostojeństwo. S

W AKADEMII WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI W WARSZAWIE RZĄDZI AKTUALNIE POD OPIEKĄ POLICJI SŁAWOMIR CUDAK, ZWALNIAJĄC DYSCYPLINARNIE LUDZI, KTÓRZY NAWET NIE PRZYSZLI DO PRACY.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**



eprasa.pl ede876e26c

RAPORT

SGH i Forum Ekonomicznego

W Centrum Prasowym Hotelu Gołębiewski podczas XXXV Forum Ekonomicznego w Karpaczu zaprezentowano dziewiątą edycję Raportu Szkoły Głównej Handlowej i Forum Ekonomicznego. Opracowanie stanowi **pogłębioną analizę** współczesnych wyzwań, które stoją przed państwami Europy Środkowo-Wschodniej, a także propozycje rozwiązań i rekomendacje dla decydentów politycznych, liderów biznesu i instytucji publicznych.

Marcin Krzeszowiec



Fot. M. Żegliński

eprasa.pl ede876e26c

Tegoroczny Raport obejmuje dziesięć eksperckich opracowań, które dotyczą między innymi podatku cyfrowego, odporności polskiego sektora ochrony zdrowia, kobiet na rynku pracy, znaczenia cen energii dla rozwoju gospodarczego czy konsekwencji akcesji Ukrainy do Unii Europejskiej dla bezpieczeństwa żywnościowego krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

DZIEWIĄTA EDYCJA RAPORTU SGH I FORUM EKONOMICZNEGO ZOSTAŁA PRZYGOTOWANA PRZEZ 50 AUTORÓW I OBEJMUJE DZIESIĘĆ EKSPERCKICH OPRACOWAŃ.

Kapitalizm patchworkowy

Badacze przeprowadzili między innymi analizę dotyczącą tzw. kapitalizmu patchworkowego, charakteryzującego kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Tak nazwano system gospodarczy będący zbiorem elementów przyjętych z różnych epok i porządków – od feudalizmu, przez socjalizm, po współczesne modele kapitalizmu zachodniego. Autorzy raportu wskazali, że kapitalizm patchworkowy jest liderem wzrostu w Europie, ale nie na świecie, i zalecili podjęcie działań w dwóch obszarach.

Po pierwsze zarekomendowali „przebudowę instytucji, czyli zwiększenie ich spójności, stabilności prawa i skuteczności egzekwowania reguł, a także ograniczenie pogoni za rentą i zawłaszczania państwa oraz wzmocnienie instytucji tworzących i upowszechniających wiedzę".

A po drugie zalecają utworzenie nowej strategii rozwoju zakładającej „przesunięcie produkcji i eksportu do branż o wyższej wartości dodanej, wzrostu nakładów na badania i rozwój, poprawę jakości kapitału ludzkiego i stabilizację finansów publicznych".

„Bez takiej zmiany regionowi Europy Środkowo-Wschodniej grozi pułapka średniego dochodu i utrzymanie pozycji (pół)peryferii" – ocenili badacze.

Ceny energii a wzrost gospodarczy

W innej analizie naukowcy przyjrzeli się cenom energii w kontekście rozwoju gospodarczego. We wnioskach podali, że to rynek gazu w największym stopniu kształtuje ceny prądu, natomiast najsilniej uderzają w gospodarkę ceny paliw transportowych.

Autorzy opracowania zwrócili też uwagę, że krótkookresowe zmiany cen energii „nie stanowią głównego i samodzielnego czynnika wzrostu gospodarczego w regionie", a ich wpływ jest w dużej mierze łagodzony przez inwestycje czy strukturę gospodarki.

„Zmiany cen energii oddziałują na rozwój gospodarczy w sposób długofalowy i strukturalny oraz są uwarunkowane energochłonnością gospodarki, strukturą źródeł energii czy skalą zależności od importu surowców energetycznych, przy czym ważniejsza od samego poziomu cen bywa niepewność co do ich wahań. Rozsądnie prowadzona transformacja energetyczna, łagodząca słabości strukturalne, może uodpornić gospodarkę na takie wstrząsy" – stwierdzili badacze.

Raport SGH i Forum Ekonomicznego został przygotowany przez 50 autorów i wydany zarówno w języku polskim, jak i angielskim. Opracowanie można zakupić na stronie: raportsghforum.pl.

Więcej informacji o raporcie na www.forum-ekonomiczne.pl.

NEUROATYPOWY MICHALSKI



eprasa.pl ede876e26c

WOJNA, czyli suwerenność

Fot. Adobe Stock

epresa.pl edeb76e26c



Putin przekonał Rosjan, że konflikt zbrojny jest zjawiskiem naturalnym i może trwać **stale**.

Piotr Skwieciński

Na misję dyrektora CIA Johna Ratcliffe'a, mającego przekonać stronę rosyjską o konieczności zakończenia działań wojennych, Kreml odpowiedział wzmożeniem – już następnego dnia – ataków rakietowych na Kijów. To zdanie jak w soczewce skupia w sobie obecną sytuację wojenną.

Letnia ukraińska ofensywa powietrzna rozbudziła w części życzliwych Kijowowi obserwatorów nadzieje na przełom, na jakiś rodzaj załamania Rosji. Ukraińskie uderzenia, zwłaszcza te na sektor energetyczny i petrochemię, kosztowały Rosjan sporo. Ale daleko nie na tyle, żeby Moskwa stanęła wobec wyboru: przerwanie wojny lub jakiś wewnętrzny horror. Nic nie wskazuje na to, aby wzrosła jej chęć do zawarcia jakiegokolwiek rodzaju kompromisu.

Tym bardziej że Ukraińcy rozproszyli swoje siły. Bo poza biciem w energetykę, petrochemię, porty oraz w cele jednoznacznie wojskowe, zaczęli prowadzić zmasowaną kampanię przeciw rosyjskim cywilnym lotniskom oraz składom handlu internetowego. Będąc ofiarami agresji, mieli do tego oczywiste prawo moralne, co jednak nie zmienia faktu, iż z racji ograniczenia środków po prostu musiało to oznaczać osłabienie ataków na cele z punktu widzenia zadawania realnych strat rosyjskiej ekonomii oraz machinie wojennej zdecydowanie bardziej kluczowe.

Jak dalece nieoczywiste było skierowanie uderzeń na cele z tej drugiej grupy, świadczy choćby fakt, że nawet najbardziej proukraińscy obserwatorzy nie potrafili tego jasno uzasadnić i gubili się w fantastycznych niekiedy hipotezach. I tak na przykład rosyjski emigracyjny ekspert wojskowy Jurij Fiodorow uznał, iż celem ataku na składy handlu internetowego było uderzenie w „społeczne zaplecze faszyzmu" – bo internetowo handluje przede wszystkim klasa średnia, a to ona, jak jeszcze w latach 20. stwierdzili Trocki z Togliattim, jest zawsze bazą faszyzmu, i na tym miała polegać celowość niszczenia składów Wildberries. Z kolei bardzo popularny opozycyjny publicysta Andriej Malgin ›

SIERGIEJ ŁAWROW OŚWIADCZYŁ, ŻE ROSJA NIE ZAAKCEPTUJE SYTUACJI, W KTÓREJ PO WOJNIE NA UKRAINIE POZOSTANIE U WŁADZY „OBECNY REŻIM".

ataki na składy uzasadnił tym, że intuicyjnie czuje, iż internetowym handlem zajmują się żony i kochanki putinowskich urzędników...

Co nie znaczy, żeby ataki na Wildberries i cywilne lotniska naprawdę nie miały logicznego uzasadnienia. Tyle że ukraińscy stratedzy popełnili tu błąd, intelektualnie podobny do błędu popełnionego przez rosyjskich decydentów w 2022 roku. Postrzegali oni społeczeństwo ukraińskie przez pryzmat swoich zastarzałych o nim wyobrażeń i zakładali, że nie będzie się ono bronić przed rosyjską inwazją. Jak wiemy, stało się zupełnie inaczej. W 2026 roku Ukraińcy założyli natomiast, że społeczeństwo rosyjskie zareaguje tak, jak zachodnie – i skonfrontowane z problemami, które stworzy mu sparaliżowanie handlu internetowego i lotnictwa cywilnego (z racji rozmiarów swojego kraju Rosjanie często latają; również w czasie wojny kwitnie zagraniczna turystyka), naciśnie na swoje władze, by skończyły z tymi niedogodnościami poprzez zakończenie wojny. Okazało się to ułudą.

Na moment zrealizowany został inny cel ukraińskiej kampanii dronowej – rozniecenie na Zachodzie przekonania, iż Kijów może Rosję pokonać. To się udało, kiedy jednak stało się jasne, iż Rosja się nie załamuje, wahadło nastrojów znów się wahnęło i chwilowy optymizm ustąpił, jak to zwykle w przypadku Zachodu, miejsca jeszcze głębszemu niż przedtem pesymizmowi.

„Usunąć pierwotne przyczyny”

Dziś, na skutek tak pojmowanego fiaska ukraińskiej ofensywy powietrznej oraz oczywistego deficytu będących w dyspozycji Kijowa środków obrony przeciwrakietowej, pewność siebie rosyjskich władz wzrosła. Jest jasne, że nie przewidują one zakończenia wojny drogą czy to jej zamrożenia wzdłuż obecnej linii frontu, czy nawet tylko poprzez dalsze ustępstwa terytorialne Kijowa. Minister Siergiej Ławrow oświadczył, że Rosja nie zaakceptuje sytuacji, w której po wojnie na Ukrainie pozostanie u władzy „obecny reżim” – „rusofobiczny, agresywny, neonazistowski”. Innymi słowy – wszystko wskazuje na to, że Moskwa nadal traktuje jako realne plany wymuszenia w traktacie pokojowym utworzenia mechanizmów dających jej rozstrzygający wpływ na wewnętrzną politykę Ukrainy.

WOJNA STAŁA SIĘ NIEODŁĄCZNĄ CZĘŚCIĄ SPUŚCIZNY PUTINA.

UKRAIŃSKA POLITYKA TRUMPA POLEGA NA CHAOSIE I WYSYŁANIU SPRZECZNYCH SYGNAŁÓW, CO JEST CZYNNIKIEM ZWIĘKSZAJĄCYM PEWNOŚĆ SIEBIE ROSJI.

Inny wysoko postawiony dyplomata Rodion Mirosznik mówi, że Ukraina „z państwa mogącego istnieć samodzielnie przekształciła się w państwo-najemnika, które istnieje tak długo, jak długo mu płacą. Ukraina wojuje tyle czasu, za ile jej zapłacono, i jeśli nie możemy dogadać się co do tego, żeby jej przestali płacić, to pozostaje nam tylko droga wojny”.

Sam Putin zaś w czasie spotkania z wysłannikami Donalda Trumpa, Steve’em Witkoffem i Jaredem Kushnerem, podkreślił konieczność usunięcia „pierwotnych przyczyn konfliktu” na Ukrainie, do których zaliczył m.in. rozszerzanie NATO na wschód po 1999 r.

Zachodni analitycy nie chcą przyjąć tego obrazu sytuacji do wiadomości, taki maksymalizm rosyjskich żądań zaprzecza bowiem ich sposobowi pojmowania polityki. Na przykład Samuel Charap z korporacji RAND przedstawia w „Foreign Affairs” wysoce profesjonalną, wręcz wysublimowaną wizję tego, jak powinny wyglądać negocjacje pokojowe. W sposób pełen erudycji pisze o mechanizmach, które doprowadziły do sukcesu pertraktacje egipsko-izraelskie, północnoirlandzkie czy te dotyczące Bośni, o tym, jak należy negocjacje prowadzić, czego unikać. Podkreśla, jak ważne jest, żeby negocjować bez przerw i nad jednym tekstem, a nie nad multum cząstkowych porozumień itd., itp. Ale czy Putin w ogóle chce pokoju? Dla Charapa i wielu innych zachodnich komentatorów wydaje się to mniej ważne. Czasem dostrzegają ten problem, ale natychmiast przechodzą nad nim do porządku. Bo jest dla nich zbyt niekomfortowy.

Bardzo ważnym elementem sytuacji jest też, oczywiście, Donald Trump, który w tej sprawie zdaje się wykazywać całkowitą niereformowalność. I w całym okresie sprawowania przez siebie władzy i – zwłasz-

eprasa.pl ede876e26c

cza – w ciągu ostatnich miesięcy działa według schematu „wyjście naprzeciw Moskwie – brak efektu – lekkie obrażenie się i sugestie zmiany stanowiska, jednak bez zdecydowanego działania – brak efektu – utrata zainteresowania tematem – wyjście naprzeciw Moskwie – i tak dalej".

Prezydent USA mimo, wydawałoby się, wielu już doświadczeń, które powinny skłonić go do rewizji podejścia, bardzo wyraźnie nie jest w stanie rozstać się z przekonaniem o własnej nadsprawczości i o tym, że zawsze jest w stanie przeprowadzić „wielki, piękny deal", który będzie z korzyścią dla wszystkich zaangażowanych stron. Uporczywe wracanie do wykorzystywania, nieskażonego żadnym dokonaniem, duetu Kushner – Witkoff i pomysłu, że jak się trochę naciśnie na Kijów, a Moskwie coś obieca i wykaże jej, iż na dalszej wojnie straci finansowo, świadczy o tym bardzo wyraźnie.

W efekcie ukraińska polityka Trumpa polega na chaosie i periodycznym wysyłaniu sprzecznych sygnałów. Co samo w sobie jest czynnikiem, zwiększającym pewność siebie Rosji.

Konieczny stan rzeczy

Trump ani nikt z jego otoczenia bardzo wyraźnie nie przyjmuje do wiadomości, iż – jak to ujęli Michael Kimmage i Maria Lipman – „pomimo licznych kosztów wojna wzmocniła putinizm i została wpleciona w tkankę rosyjskiej państwowości". Ci amerykańscy eksperci przypominają, że prezydent Rosji doprowadził do sytuacji, w której (na skutek zarówno wojny obecnej, jak i poprzednich: w Czeczenii, Gruzji, w Donbasie oraz w Syrii) dla Rosjan wojna stała się czymś znajomym, oswojonym, ale nieingerującym bezpośrednio w ich codzienne życie. „Przez ostatnie cztery lata misją Kremla było przekonanie Rosjan, że wojnę można oceniać jakkolwiek, tylko nie jako stan nadzwyczajny. Jest ona stanem rzeczy koniecznym ze względu na to, że Rosję otaczają liczni wrogowie, i właściwym, biorąc pod uwagę jej misję oraz siłę".

Trwanie wojny bowiem, według Kimmage'a i Lipman, „jest paradoksalnym źródłem pewności siebie tego systemu". Póki wojna trwa, Kreml może ją przedstawiać jako „dowód rosyjskiej niezależności w sprawach międzynarodowych – suwerenności, używając określenia Putina. Suwerenności polegającej na tym, że Europa i Stany Zjednoczone nie mogą mówić Rosji, co ma robić".

> DLA ROSJAN WOJNA STAŁA SIĘ CZYMŚ ZNAJOMYM, OSWOJONYM, ALE NIEINGERUJĄCYM BEZPOŚREDNIO W ICH CODZIENNE ŻYCIE.

> ROSYJSCY DECYDENCI POSTRZEGALI SPOŁECZEŃSTWO UKRAIŃSKIE PRZEZ PRYZMAT SWOICH ZASTARZAŁYCH O NIM WYOBRAŻEŃ I ZAKŁADALI, ŻE NIE BĘDZIE SIĘ ONO BRONIĆ PRZED INWAZJĄ.

Dodajmy, że wybitny rusolog brytyjski Mark Galeotti bardzo podobnie postrzega putinowską koncepcję suwerenności i to, jak działanie w myśl tej koncepcji satysfakcjonuje większość Rosjan i uprawomocnia w ich oczach władzę. „Status Rosji jako wielkiego mocarstwa polega nie tyle na jej możliwości używania siły na wielką skalę poza granicami, ile na stawianiu oporu i zdolności do oporu. Na byciu zdolnym do opierania się fali – czy chodzi o inkorporację do zachodniego systemu bankowego, czy o ideologię woke, czy po prostu o odmowę słuchania wydawanych przez dominujące Stany Zjednoczone poleceń, co należy robić" – uważa Galeotti. „Status wielkiego mocarstwa jest określony przez stopień suwerenności państwa, a stopień suwerenności – przez jego zdolność do skutecznego stawiania oporu".

Stworzony przez Putina system rządów daje mu niemal pełną swobodę działania, i co więcej – wojna stała się nieodłączną częścią jego spuścizny. I on sam, i Rosja są nastawieni na perspektywę bardzo długiego jej prowadzenia – konkludują Kimmage i Lipman.

Nie potrafię niestety stwierdzić, że się mylą.

eprasa.pl ede876e26c

Społeczeństwo

Polskie dzikie peryferia. POGRANICZA

„Jeszcze Polska nie zginęła, wiwat Plemię Lasze, słuszna sprawa górę wzięła, Morskie Oko nasze!” – owe słowa śpiewane na melodię hymnu narodowego wybrzmiały we wrześniu 1902 r. po długiej batalii między sądami galicyjskimi (tj. podlegającymi Austrii) a węgierskimi o przynależność terytorialną Morskiego Oka. Te historie, okupione **staraniami lokalnych Polaków**, osobistości takich jak Jan Gwalbert Pawlikowski czy działaczy patriotycznych z reszty ziem polskich, utkwiły w pamięci mieszkańców konkretnych miejsc.

Hanna Szymerska



Cieszyn

Fot. Adobe Stock

Lubimy mówić o romantycznych mitach narodowych – i dobrze, bo z tego też się wykuwa tożsamość zbiorowa. Podobnych historii o pograniczach nie brakuje – Sejny, Przemyśl, Śląsk Cieszyński... Ale mówiąc o tych najdalszych skrawkach, warto przyjrzeć się także realiom poszczególnych regionów, a te bynajmniej nie zawsze są romantyczno-pogodne.

Po pierwsze infrastruktura

Funkcjonowanie infrastruktury transportowej w Polsce było pewnym ewenementem na skalę europejską, zwłaszcza gdy mówimy o kolei. Co do zasady w centrach państw przecinają się linie kolejowe – u nas wbrew pozorom w centrum mogliśmy zobaczyć pewną, może nie pustkę, ale ograniczoną liczbę połączeń w województwie łódzkim. Wynikało to stricte z dziedzictwa porozbiorowego, gdzie okolice środka obecnego terytorium Polski były pograniczami państw zaborczych. Jest pewna prawidłowość – pogranicze, niezależnie od kraju – jest co do zasady gorzej rozwinięte pod kątem infrastruktury. Pewne wyjątki stanowią miasta przemysłowe czy tereny niegdyś sporne (przykładowo południe Słowacji, gdzie infrastruktura była budowana jeszcze w czasach węgierskich, a samo w sobie południe „Górnych Węgier" stanowiło mniej więcej nieodległą północ kraju), ale co do zasady tak to wygląda. Nie dojedziemy do Sejn pociągiem – przesiądziemy się w Suwałkach na PKS, nie dojedziemy do Orawki – możemy dojechać do Nowego Targu albo jechać autobusem z Krakowa należącym do prywatnej spółki. Co prawda są to tereny słabiej zaludnione, jednakże warto spojrzeć także na komfort życia mieszkańców. A pomijając fakt, że do wyżej wspomnianych Sejn autobus dojeżdża z Suwałk dwa razy dziennie w weekendy (o siódmej rano i w okolicach siedemnastej), oliwy do ognia już niewygodnej sytuacji dolała reforma administracyjna z 1997 r. Zmiany te okazały się w wielu przypadkach bandyckie. Na mocy reformy na znaczeniu straciły takie miasta, jak Bielsko-Biała, Cieszyn, Przemyśl czy Suwałki, dodatkowo utrudnione zostało załatwianie spraw w miastach wojewódzkich, gorzej skomunikowanych z miejscowościami na antypodach Polski. Chcąc załatwić sprawę w mieście wojewódzkim, mieszkaniec Krasiczyna k. Przemyśla (notabene znanego z pięknego zamku Zamoyskich) musi najpierw udać się PKS-em (albo zamówić taksówkę za kilkadziesiąt złotych) do Przemyśla, a następnie wsiąść do pociągu do Rzeszowa. W gorszej sytuacji będzie mieszkaniec wschodu i północnego wschodu – wszak odcinek Rzeszów–Przemyśl jest częścią magistralnej linii E30 i obsługuje połączenia regionalne, krajowe, a nawet międzynarodowe, w kierunku Ukrainy; ruch Lublin–Chełm jest zdecydowanie mniejszy (a i tak liczba pociągów się zwiększyła ze względu na wojnę za wschodnią granicą; obecnie Chełm posiada połączenie z Kijowem), na trasie Suwałki–Białystok kursuje jeszcze mniej pociągów. A i tak ta sytuacja jest lepsza niż na północy Warmii, gdzie do Gołdapi łatwiej dojechać z Warszawy (!) niż z Olsztyna. Można oczywiście odbijać piłeczkę, że „ludzie na wsiach mają samochody". Mają, ale jednocześnie tereny wiejskie, a co za tym idzie – nierzadko również pogranicza, padają ofiarą starzenia się społeczeństwa w sposób dość drastyczny. Nie możemy oczekiwać od starszych ludzi z problemami ze wzrokiem prowadzenia auta, tak samo od nieletnich. A jak wygląda sytuacja na zachodnim i południowo-zachodnim pograniczu? Przewrotnie można powiedzieć, że lata dziewięćdziesiąte wyrównały poszczególne regiony kraju poprzez oczywiście obcięcie połączeń kolejowych na Ziemiach Odzyskanych. Przez dekadę Lubin (prawie 70 tysięcy mieszkańców) był de facto pozbawiony połączeń pasażerskich. Jastrzębie-Zdrój, w granicach Polski od międzywojnia, od 2001 r. nie obsłużyło żadnego połączenia pasażerskiego. Trwa dyskusja nad przywróceniem kolei do miasta, ale co z tego? Miasto niedaleko granicy polsko-czeskiej już się wyludnia. Z ponad 100 tysięcy ludzi w 1990 r. pozostały 82 tysiące w 2020 r. I ci ludzie nadal nie mają kolei.

> POGRANICZE – NIEZALEŻNIE OD KRAJU – JEST CO DO ZASADY GORZEJ ROZWINIĘTE POD KĄTEM INFRASTRUKTURY.

Historia zatacza koła

Można mówić, że za każdy metr ziemi nasi przodkowie swoją krew przelewali i nie będzie w tym ani fałszu, ani nadmiernego patosu. Kiedy jednak mówimy o morfemie „pato-", nie sposób nie odnieść wrażenia, że podejście do historii

eprasa.pl ede876e26c

pogranicza przybiera formę patologiczną. Patologiczną nie przez uczynek, lecz przez zaniedbanie. Dajmy na przykład zwycięskie (!) powstanie sejneńskie, którego 107. rocznica przypada w tym roku i (nie ukrywam zaskoczenia) będzie upamiętniona w Suwałkach. Niespełna dwie dekady temu sytuacja wyglądała inaczej – gdy ówczesny burmistrz Sejn Jan Kap poprosił marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego o patronat nad obchodami z okazji 90. rocznicy, spotkał się z odmową. To sprawa ewidentnie zbyt kontrowersyjna, bo walczono wówczas z Litwinami (notabene ich wnukowie i prawnukowie słyszeli o tym wydarzeniu). O powstaniu sejneńskim nie mówi się zbytnio podczas lekcji historii, chociaż polegli tam Polacy wytyczyli wschodnią granicę kraju na lata. Samo ich wystąpienie przeciwko litewskiej administracji łamiącej warunki ustalone po I wojnie światowej było patriotycznym zrywem większościowej ludności polskiej, które na stałe zapisało się w pamięci zbiorowej mieszkańców. Ulica Powstańców Sejneńskich figuruje na mapie miasta od 2017 roku. O przyozdobienie nagrobków zadbały lokalna parafia oraz IPN. To wszystko dzieje stosunkowo najnowsze. Ale nie tylko tam problem ten dotyka przygraniczne gminy. Kto wie o dziejach Polskiej Orawy? Węgrzy, którzy są najliczniejszą grupą turystów w Kościele pw. Jana Chrzciciela w Orawce i którzy przyjechali zobaczyć północne kresy dawnego Królestwa? Mieszkańcy, których babcie uczyły się w szkole po węgiersku i słowacku? Studenci I roku prawa, którzy słyszeli o turystyce rozwodowej, gdyż węgierskie prawo w przeciwieństwie do galicyjskiego nie stwarzało problemów przy rozwodach, niezależnie od wyznania? A jak sytuacja ta wygląda w Cieszynie i Przemyślu, gdzie historie walk o Zaolzie i upamiętnienie Orląt Przemyskich stały się ofiarą bieżącej geopolityki? Jeśli o pamięć o harcerzach i młodzieży, dzięki którym Przemyśl jest w granicach kraju, nie zatroszczy się państwo polskie i samorządy, można domniemywać, że albo ona zaniknie zupełnie, albo zajmą się tą kwestią grupy „krzykaczy", które niekoniecznie będą chciały rzetelnej polityki historycznej między Polską a Ukrainą. I będą miały do tego paliwo. Na ziemiach zachodnich jednak sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Możemy potępiać każdy wpis deputowanych AfD używających formy Breslau, ale jednocześnie nie możemy ignorować działań polskich samorządowców i organizacji pozarządowych, którzy sami zdają się ślepi na niemiecki rewizjonizm. Przykłady można mnożyć. W 2025 r. rozgorzała dosyć burzliwa dyskusja dotycząca rewitalizacji parku w Szczytnie. W planach urbanistycznych znalazła się aleja Otto von Bismarcka (dla przypomnienia – odpowiedzialnego za agresywną germanizację, kulturkampf oraz rugi pruskie) wraz z jego popiersiem. W tym samym roku we Wrocławiu odbyły się protesty organizowane przez Młodzież Wszechpolską, których powodem był projekt umieszczenia na Moście Grunwaldzkim niemieckich napisów oraz cesarskich orłów.

That's the demography, stupid

Doradca Billa Clintona, James Carville w 1992 r. zasłynął z frazy „Gospodarka, głupcze". Coraz częściej jednak widzimy, że to nie ekonomia pojmowana w kategoriach ślepego wzrostu PKB i permanentnego narzekania na dług publiczny, lecz demografia jest przyszłością. I w kontekście pogranicza ta jawi się w bardzo ciemnych barwach. Rząd Koalicji Obywatelskiej zdecydował się na zamknięcie „nierentownych porodówek". Pomijając aspekt oceny ochrony zdrowia przez pryzmat rentowności – nietrudno zauważyć, że na słabiej zaludnionych terenach będzie także mniej porodów. Doszliśmy do momentu, w którym nie ma ani jednej porodówki w Bieszczadach. Cięcia dotknęły także Krynicę-Zdrój i Sejny. W „kolejce" są następne miasta. Nietrudno też dorozumieć, że w sytuacji zagrożenia życia i zdrowia kobiety czy nawet w przypadku prawidłowo przebiegającego porodu czas ma znaczenie i godzina drogi z Bieszczad może być dla rodzącej stresująca, a nawet niebezpieczna. Popadamy tu nie pierwszy raz w błędne koło – kobieta rodząca na SOR-ze czy doświadczająca powikłań w czasie porodu może nie zdecydować się na kolejne dziecko. Są też problemy okołodemograficzne, których gołym okiem nie widać. Coraz częściej widzimy cięcia, w tym masowe, przeprowadzane przez pracodawców zwłaszcza w mniejszych i średnich miejscowościach. Jak donosi portal Nowy Obywatel, między grudniem 2023 r.

> CZAS MA ZNACZENIE I GODZINA DROGI Z BIESZCZAD MOŻE BYĆ DLA RODZĄCEJ STRESUJĄCA, A NAWET NIEBEZPIECZNA.

eprasa.pl ede876e26c

a 2025 r. na cięcia kadrowe w rejonach przygranicznych zdecydowały się zakłady Hutchinson w Żywcu (90 osób na bruk), zakład Henkel w Raciborzu (160 osób zwolnionych), SGL Battery Solutions Polska w tym samym mieście (30 osób) oraz Huta Szkła Marta 2 w Chełmie i Dubecznie w powiecie włodawskim (210 zwolnionych). Możliwości pracy w mniejszych ośrodkach nierzadko są mniejsze, a nawet jeśli są – niekoniecznie będą dla mieszkańców. W Jabłonce (województwo małopolskie) niedaleko granicy słowackiej zakład mięsny zdecydował się na rozwinięcie możliwości poprzez... zatrudnianie imigrantów z Nepalu. Wywołuje to ostry sprzeciw części mieszkańców okolicy. I w tych właśnie okolicznościach mamy tworzyć potęgę państwa, ponad 300 tysięcy kilometrów kwadratowych, które rozciąga się nie tylko w obrębie Big 5, lecz również między Odrą i Nysą Łużycką a Bugiem, między Tatrami a Bałtykiem...

Pogranicze jutra

O ile sytuacja nie wygląda dobrze, o tyle sytuacja nie jest nigdy przesądzona – a wydarzenia w naszym kraju potrafią zaskoczyć, także pozytywnie. Bo chociaż w Gabowych Grądach koło Augustowa autobusu typu PKS już raczej ze świecą szukać, nie mamy mimo wszystko powodów do bezproduktywnej rozpaczy. Czy pogranicze się uratuje samo? Raczej nie, ale na cuda też można liczyć, chociaż najlepszym rozwiązaniem jest rzeczywista dbałość o rozwój państwa w znaczeniu holistycznym. Czy pogranicze uratuje turystyka?

NIE MOŻEMY POŚWIĘCAĆ POGRANICZOM CZASU ANTENOWEGO CZY NAGŁÓWKÓW JEDYNIE WTEDY, GDY WYDARZY SIĘ NA NICH TRAGEDIA.

Na pewno widok Litwina w Sejnach kupującego u polskiego sprzedawcy i tym samym zostawiającego kapitał w tychże Sejnach jest przyjemny. Na pewno też w pogranicznach jest pewien potencjał, w tym turystyczny, zwłaszcza jeśli mówimy o obszarach takich jak dziewicze lasy Suwalszczyzny, bieszczadzkie połoniny czy historycznie cenny Cieszyn. Jednakże te regiony najpierw musiałyby zostać dostrzeżone przez instytucje odpowiedzialne za promocję państwa (co przy ostatnich wydarzeniach związanych z Marką Polska wydaje się płonną nadzieją). To, co zdaje się kluczowe, jest właśnie kwestią przebicia się tematu do politycznego mainstreamu – w którym o Głuchołazach słyszelibyśmy nie tylko w kontekście powodzi, a o Podlasiu nie tylko w kontekście działań hybrydowych Łukaszenki. Nie możemy poświęcać pogranicznym czasu antenowego czy nagłówków jedynie wtedy, gdy wydarzy się na nich tragedia. Wszak nie mówimy jedynie o kreskach na mapie, lecz o terenach, na których mieszkają nasi rodacy. I których tożsamość jest żywa, choć nierzadko dziedzictwo konkretnych regionów zanika. Jeśli chcemy pogranicze dostrzec, musimy wiedzieć w ogóle, o jakich terenach mówimy – i choć samo w sobie słowo „pogranicze" jest już generalizujące, nie sposób znaleźć lepszego określenia dla ziem z cechą wspólną, jaką jest bliskość granicy i wiele podobnych problemów. Potrzebna jest nam nie tylko postawa solidarystyczna, niezwykle ważna nie tylko dla zrównoważonego rozwoju państwa, lecz również dla funkcjonowania społeczeństwa: musimy dojść do pewnej społecznej odpowiedzialności za nasze małe ojczyzny – oczywiście w miarę możliwości konkretnych jednostek. Bez świadomej klasy politycznej na szczeblu samorządowym, bez zainteresowanych losem własnych miasteczek obywateli i bez współpracy między podmiotami, także instytucjami władzy centralnej, nawet najlepsze inwestycje pozostaną w sferze marzeń.

W POGRANICZACH JEST POTENCJAŁ, W TYM TURYSTYCZNY, ZWŁASZCZA W DZIEWICZYCH LASACH SUWALSZCZYZNY, BIESZCZADZKICH POŁONINACH CZY HISTORYCZNIE CENNYM CIESZYNIE.

eprasa.pl ede876e26c

Człowiek na życzenie

Nie ma wątpliwości, że rozwój technologii dawno przekroczył granice służebności wobec człowieka. W tle są wielkie pieniądze i coraz mniej etyki. Scenariusze opisujące produkcję ludzi stają się rzeczywistością. Niewiele brakowało, aby za sprawą ukraińskiej firmy do Polski wkroczyła surogacja. Niezgodna z polskim prawem, ale **bardzo dochodowa**. Ile kosztuje dziś człowiek w wersji VIP?

Barbara Andrijanić

Zanim temat surogacji stał się głośny za sprawą McKenny West z Alaski, która odmówiła zabicia dziecka z powodu wykrytej u niego wady serca, Instytut Ordo Iuris zajął się tą kwestią podczas majowej międzynarodowej konferencji „Macierzyństwo w XXI wieku". Pojawił się tam panel, którego uczestnicy doskonale opisali to, o czym huczą dziś media na całym świecie. Surogacja to zabieg wątpliwy nie tylko etycznie, ale przede wszystkim psychologicznie i prawnie.

Czym naprawdę jest surogacja, czyli macierzyństwo zastępcze, które media próbują przedstawić jako bezpieczną metodę wspomagania rozrodu?

Odpowiedzi można szukać w raporcie przygotowanym przez Reem Alsalem, specjalną sprawozdawczynię ONZ ds. przemocy wobec kobiet i dziewcząt, jedną z uczestniczek majowej konferencji na UKSW. Alsalem nazwała w nim surogację komercyjną wprost systemem przemocy, wyzysku oraz utowarowienia ciała kobiet i dzieci. Jako przedstawicielka ONZ nie przestaje domagać się w nich również międzynarodowego zakazu surogacji. Wspiera ją Bettina Roska (ADF International, Genewa), która podczas panelu zwróciła uwagę, że komercyjna surogacja – a to ponad 80% wszystkich przypadków na świecie – spełnia znamiona sprzedaży dziecka w rozumieniu prawa ONZ. Trzecia z uczestniczek panelu Olivia Maurel, urodzona w wyniku surogacji, była tym głosem, o którym nie przeczytamy ani na stronach klinik, ani w kontraktach. – Jestem produktem surogacji, sprzedanym zanim zobaczyła mnie własna matka – mówiła na spotkaniu w Warszawie.

Zakazać surogacji

Temat udało się nagłośnić w czerwcu 2026 roku, kiedy część państw na forum Rady Praw Człowieka ONZ opowiedziała się za wprowadzeniem międzynarodowego moratorium na tę praktykę jako zjawisko naruszające godność ludzką oraz prawa matek i dzieci. Czy ma to jakieś znaczenie dla firm takich jak ukraińska klinika z Kijowa BioTexCom? Ma. Takie, że trzeba działać szybciej. Fakt odmowy organizacji wrześniowej konferencji w Warszawie jest wygraną jednej bitwy. Udało się to dzięki naciskom społecznym i mediom konserwatywnym, które nagłośniły sprawę i doprowadziły do wycofania się podmiotu mającego wynająć przestrzeń na Al. Jerozolimskich na konferencję. Pomogły z pewnością oficjalne



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl ede876e26c



komunikaty kliniki i formularze rejestracyjne, według których organizatorzy nie zaplanowali klasycznej konferencji z wykładami i panelami dyskusyjnymi. W „programie" miały się znaleźć indywidualne konsultacje dla zapisanych par i osób samotnych, które rozważały procedury wspomaganego rozrodu. Zainteresowani mieliby okazję omówić szczegóły dotyczące wyjazdu na konsultacje do kijowskiej kliniki, poznać ofertę z pakietami oraz cenę usług, w tym surogacji.

Klinika czy przedsiębiorstwo?

BioTexCom. Centrum rozrodu człowieka – tak reklamuje się w internecie jedna z kilkudziesięciu firm reprodukcyjnych działających legalnie na Ukrainie. Nazwa kojarzy się bardziej z fabryką inseminacyjną niż instytucją medyczną, która za jeden pakiet VIP potrafi zarobić 65 tys. euro. O tym, ile w tej transakcji dostaje matka zastępcza, opowiem za chwilę. Wszystko wskazuje na to, że chwilowe załamanie „rynku produkcyjnego" spowodowane pandemią oraz wojną znowu zaczyna się rozpędzać. Potwierdza to Instytut Ordo Iuris: „Międzynarodowe lobby surogacyjne szuka nowych rynków, a Polska – bez jednoznacznego zakazu w prawie karnym – pozostaje dla niego furtką. Dlatego eksperci Ordo Iuris pracują nad rozwiązaniami legislacyjnymi, które ją zamkną, zanim proceder zdąży się u nas zakorzenić".

Prawo a kontrakt

W dyskusji o surogacji przeważają altruizm i zwykła chęć pomocy tym, którzy nie mieli szczęścia zostać rodzicami. Nikt nie mówi o pieniądzach i intratnym biznesie. Z filmików kliniki uśmiechają się do widza szczęśliwe mamy zastępcze zachwalające opiekę lekarzy. Nie ma nic o kontrakcie i jego warunkach, nie wspomina się o zagrożeniach wynikających z udziału w tym procederze, a na pewno nie o wątpliwościach etycznych i prawnych.

Tymczasem – na co zwraca uwagę Alsalem – surogatka decydująca się pomóc bezdzietnej parze musi podpisać kontrakt, który nakazuje jej wprost: co może jeść, z kim się spotykać, kto będzie obecny na sali, kiedy będzie rodzić dziecko czy w jaki sposób ma być przeprowadzony poród. Umowa zakazuje jej również przytulenia właśnie urodzonego dziecka. Kontrakty różnią się w zależności od kraju, w którym są podpisywane. Zgodnie z ustawodawstwem ukraińskim matka zastępcza nie może rościć sobie żadnych praw do dziecka i tylko rodzice zamawiający dziecko zostaną wskazani w akcie jego urodzenia jako matka i ojciec. To oczywiście tylko część warunków, na które musi zgodzić się kobieta w zamian za gratyfikację finansową, świadomie lub – jak się okazuje – coraz częściej nieświadomie rezygnując z podstawowych praw rodzicielskich.

Profil surogatki

Reem Alsalem stworzyła w swoim raporcie profil surogatki. To kobieta z niższej klasy społecznej, która urodziła przynajmniej jedno dziecko. W większości przypadków to kobiety samotne, emigrantki znajdujące się w kryzysie ekonomicznym. Wątek rasistowski i postkolonialny również jest tu widoczny. Najczęściej macice „wynajmuje się" od kobiet białych, dobrze wyglądających i zdrowych. To one są dawczyniami komórek jajowych oraz noszą dziecko. Surogatki można sobie wybrać (m.in. podczas takich spotkań jak w Warszawie) jak produkt z wyższej lub niższej półki. Tak samo są wyceniane ich komórki jajowe. O wiele gorzej sytuacja wygląda w Azji. Badania np. w Indiach wykazały, że nawet od 76% do 88% surogatek nie rozumiało w pełni warunków umów, które podpisywały. W przypadku handlu ludźmi, bo i taki proceder jest stosowany, nie ma nawet kontraktu.

A jednak chodzi o pieniądze

Chociaż w filmach ukraińskiej kliniki surogatki tłumaczą udział w programie chęcią pomocy bezdzietnym parom, żadna nie wspomina o kwotach, które zasilą ich konta w zamian za urodzenie dziecka. Dla jednej z kobiet to już czwarta ciąża, ale jest też taka, która zdecydowała się na surogację w porozumieniu z mężem. Żadna nie podaje profitu finansowego jako motywacji do udziału w programie. Ale według raportu Reem Alsalam to właśnie problemy finansowe zaważają na decyzji o staniu się surogatką. To najczęstszy obok prostytucji sposób na zdobycie środków do życia dla wielu osamotnionych kobiet na świecie. Zdaniem

eprasa.pl ede876e26c

specjalnej sprawozdawczyni ONZ ds. przemocy wobec kobiet i dziewcząt oba procedery mają ze sobą wiele wspólnego.

Para za pakiet VIP we wspomnianej już ukraińskiej firmie musi zapłacić prawie 65 000 euro. Przy czym firma zapewnia, że liczba podejść (transferów zarodków) przy użyciu własnych komórek jajowych lub komórek jajowych dawczyni jest nieograniczona. Surogatka dostanie za donoszenie ciąży i poród do 30 000 euro. To w przeliczeniu na dochód miesięczny (3300 euro) pięciokrotność średniej ukraińskiej pensji. Chętnych na wsparcie domowego budżetu nie brakuje.

> ***Jestem produktem surogacji, sprzedanym zanim zobaczyła mnie własna matka.***
>
> OLIVIA MAUREL

Kobiety zachęcone takim zarobkiem nie zwracają uwagi na ograniczenia, z którymi wiąże się podpisanie kontraktu. Umowa zakłada pełny nadzór nad surogatką, która staje się niewolnicą rodziców zlecających. Częstą praktyką jest wprowadzenie do macicy wielu embrionów, co może stać się niebezpieczne dla matki zastępczej. Dość powszechnym zapisem w kontrakcie jest również konieczność zgody na aborcję (w przypadku choroby dziecka w jej łonie). Absolutnie skandaliczny jest brak dostępu do dokumentacji medycznej, ponieważ kobieta jest traktowana tylko jako żywy inkubator. Dokładna analiza problemu rodzicielstwa zastępczego znajduje się w raporcie Reem Alsalem przygotowanym dla ONZ.

Wolno czy nie wolno?

A jednak na świecie od 2009 r. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) oficjalnie klasyfikuje surogację jako technikę wspomagania płodności i dzieli ją na dwa główne typy: surogację całkowitą (gestacyjną), kiedy zarodek powstaje z komórek jajowych i plemników przyszłych rodziców (lub dawców) i zostaje przeniesiony do macicy surogatki, która nie jest spokrewniona genetycznie z dzieckiem. Jest to forma powszechnie rekomendowana przez międzynarodowe towarzystwa ginekologiczne. Choć surogatka nie przekazuje własnego DNA, jej organizm ma ogromny wpływ na rozwój dziecka. Nauka zwana epigenetyką dowodzi, że styl życia ciężarnej ma ogromny wpływ na zdrowie malucha w przyszłości.

Drugi typ to surogacja częściowa (tradycyjna): Surogatka zostaje zapłodniona nasieniem ojca dziecka, co oznacza, że jest ona jednocześnie matką biologiczną. Ta forma jest odradzana na świecie ze względu na wysokie obciążenie psychiczne i etyczne. Nie jest też czysta prawnie, co pokazał głośny ostatnio przypadek McKenny West, który tylko potwierdza, że problemy związane z surogacją mają więcej wątków, niż można by przypuszczać. W tym przypadku doszło do czegoś, czego kliniki boją się najbardziej i co w pierwszych punktach kontraktu jest zaznaczone na czerwono. Natychmiastowe rozłączenie dziecka z surogatką. To obawa przed nawiązaniem więzi z dzieckiem. A to właśnie stało się z McKenną, chociaż matka nie była dawczynią komórek i nie doszło do tego, co medycyna nazywa mikrochimeryzmem. Chodzi o wymianę komórek między matką a dzieckiem w czasie ciąży. Jest to dwukierunkowy proces biologiczny zachodzący przez barierę łożyskową, w wyniku którego komórki płodu przenikają do krwiobiegu matki, a komórki matki do organizmu dziecka. Oznacza to, że po ciąży zarówno matka, jak i jej potomek posiadają w swoich ciałach niewielką ilość obcego genetycznie DNA.

Czym to grozi?

Raporty medyczne i analizy ekspertów powiązanych z agendami ONZ wskazują na podwyższone ryzyko powikłań zdrowotnych u kobiet decydujących się na donoszenie ciąży jako surogatki. Ryzyko wystąpienia sepsy lub krwotoku poporodowego jest u nich trzykrotnie wyższe niż w przypadku standardowych ciąż. Najczęstsze komplikacje to: nadciśnienie tętnicze oraz stan przedrzucawkowy, cukrzyca ciążowa, łożysko przodujące, wysoki odsetek rozwiązań ciąży poprzez cesarskie cięcie. Cierpi również psychika. Kobiety często przeżywają głęboki żal i poczucie straty. Mimo wcześniejszego

DOŚĆ POWSZECHNYM ZAPISEM W KONTRAKCIE JEST KONIECZNOŚĆ ZGODY NA ABORCJĘ (W PRZYPADKU CHOROBY DZIECKA W ŁONIE SUROGATKI).

eprasa.pl ede876e26c

przygotowania psychicznego moment fizycznego odłączenia noworodka może wywołać reakcję żałoby porównywalną ze stratą własnego dziecka. Nierzadkie są też zaburzenia nastroju. Kobiety decydujące się na surogację są narażone na wahania hormonalne po porodzie, które w połączeniu ze stresem emocjonalnym mogą prowadzić do klinicznej depresji poporodowej. Czy przeczytamy o tym na stronach klinik? Nie. Raport dla ONZ zwraca uwagę także na problem wyzysku komercyjnego (Cross-border Surrogacy) i „turystyki surogacyjnej" z krajów bogatych do krajów rozwijających się. Oprócz braku świadomości prawnej matek zastępczych, o której już wspominałam, zastraszająca jest nierównowaga ekonomiczna: ogromna dysproporcja między zamożnością rodziców zamawiających a statusem materialnym surogatek, co rodzi ryzyko przymusu ekonomicznego. Z tego powodu kraje takie jak Indie, Nepal, Tajlandia czy Kambodża wprowadziły w ostatnich latach całkowity zakaz surogacji komercyjnej dla obcokrajowców.

ABSOLUTNIE SKANDALICZNY JEST BRAK DOSTĘPU DO DOKUMENTACJI MEDYCZNEJ, PONIEWAŻ KOBIETA JEST TRAKTOWANA TYLKO JAKO ŻYWY INKUBATOR.

Sprawa McKenny West

Inaczej jest w Stanach Zjednoczonych, w których każdy stan działa na własnych prawach. Pokazuje to sprawa McKenny West, surogatki wybranej przez parę Nausheen Gilkar i Omara Ahmeda, która walczy dziś o prawa do opieki nad urodzonym w sierpniu dzieckiem. Jak podaje „The Guardian", niemowlę przyszło na świat z rzadką, zagrażającą życiu wadą serca i znajduje się w stanie krytycznym.

Przypadek jest niezwykle skomplikowany, ponieważ dotyczy trzech stanów: Alaski, skąd pochodzi surogatka, Kalifornii, gdzie rezydują rodzice zamawiający, i Teksasu, gdzie urodziło się dziecko.

Sprawa nie ujrzałaby światła dziennego, a klinika pośrednicząca zrobiłaby kolejny intratny interes, gdyby nie odkrycie choroby serca dziecka (hipoplazja lewej komory serca HLHS) oraz naruszenie umowy o surogacji zawartej w sierpniu 2025 roku (rodzice adopcyjni twierdzą, że dokument zawierał klauzulę dotyczącą aborcji w przypadku choroby dziecka, od której surogatka odstąpiła).

W efekcie West uciekła do Teksasu, stanu, który zakazuje aborcji, aby tam urodzić dziecko, walczyć o jego leczenie, ale jak się okazuje również prawo do opieki i wyłączne prawo do podejmowania decyzji medycznych dotyczących dziecka. W sprawę zaangażowali się nawet republikańscy politycy.

Jak informuje „The Guardian": „Wkrótce po narodzinach dziecka prokurator generalny stanu Teksas, Ken Paxton, uzyskał orzeczenie sądowe zapewniające niemowlęciu dostęp do ratującego życie leczenia na terenie stanu, a sędzia z hrabstwa Dallas wydał nakaz w trybie pilnym zakazujący rodzicom wywożenia dziecka z Teksasu na czas trwania postępowania".

Sprawa się skomplikowała, ponieważ według prawa Kalifornii West nie przysługuje prawo do opieki prawnej ani fizycznej nad dzieckiem. Według prawników surogatki kobieta ma prawo do opieki, ponieważ od momentu postawienia diagnozy była gotowa walczyć o dziecko, podczas gdy Gilkar i Ahmed zmierzali do terminacji ciąży. Dodatkowo prawo stanu Teksas uznaje kobietę, która urodziła dziecko, za jego „matkę".

Dożyliśmy czasów, kiedy zatarła się granica między potrzebą późnego macierzyństwa lub macierzyństwa za wszelką cenę a bezpłodnością. Prawo naturalne już dawno zostało przekroczone. Człowiek i technika wkroczyli na teren zarezerwowany dla Boga. Przykład surogatki McKenny doprowadził do tragedii, w której jest co najmniej kilka ofiar. Dziecko, które nie może dochodzić do zdrowia w rodzinie, dwie matki, które walczą o prawo do dziecka, i ojciec.

> ***Międzynarodowe lobby surogacyjne szuka nowych rynków, a Polska – bez jednoznacznego zakazu w prawie karnym – pozostaje dla niego furtką.***
>
> INSTYTUT ORDO IURIS

Polskie prawo jeszcze się broni i nie uznaje dziś umów surogacyjnych (zgodnie z art. 61⁹ Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego matką dziecka jest zawsze kobieta, która je urodziła), a komercyjne pośrednictwo w tym zakresie może naruszać przepisy karne. Czas pokaże, jak długo.

eprasa.pl ede876e26c

KULTURA

Czytaj też:
Stulecie Konwickiego 48
Orwell dzieciom 52



Fot. J. Czyszewicz

Chcemy przekazywać trudne rzeczy W PROSTY SPOSÓB

– Dużą bolączką naszych czasów jest samotność. Teoretycznie wszyscy jesteśmy połączeni przez internet i mamy więcej możliwości kontaktowania się ze znajomymi, a mimo to bardzo dużo osób jest samotnych. Do tego tematu – samotności i pewnego odosobnienia mimo pozornego połączenia – często wracamy też w naszych utworach – mówią członkowie zespołu **Tabula Rasa** w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

eprasa.pl ede876e26c

Tabula Rasa to warszawski zespół electro-rockowy, który intensywnie rozwija swoją obecność na polskiej scenie. Artyści czerpią inspiracje z życia – zarówno z trudnych doświadczeń, jak i momentów pełnych wolności, energii i radości. Ich myślą przewodnią jest to, że muzyka i poczucie humoru pomagają przejść przez najcięższe chwile, dlatego mimo emocjonalnych tekstów Tabula Rasie nie brakuje luzu i dobrej energii.

– W zespołach gitarowych zazwyczaj wokalistka stoi na pierwszym planie, a u Was kobieta gra na klawiszach. Twoje ego na tym nie cierpi?

Delia: – Zupełnie nie. Wręcz przeciwnie. Lubię, kiedy Benek śpiewa. Sama też staram się śpiewać, ale na ten moment przede wszystkim w backing vocalach i chórkach. Tutaj mamy jednak potęgę głosu i widzę w Benku ogromny potencjał, więc oddaję mu to miejsce bez bólu serca.

– Co w Was, młodych ludziach, powoduje dzisiaj ból serca?

Benek: – Bardzo dużo rzeczy. Myślę, że przede wszystkim musimy jako młodzi ludzie zaadaptować się do nowych czasów i nowych sytuacji. Kiedy patrzymy na naszych rodziców i na to, jak wyglądało ich życie, widzimy, że rzeczywistość bardzo się zmieniła. Myślę, że właśnie z tym wiele osób dzisiaj najtrudniej sobie radzi.

Johnny: – Dla mnie dużą bolączką naszych czasów jest samotność. Teoretycznie wszyscy jesteśmy połączeni przez internet i mamy więcej możliwości kontaktowania się ze znajomymi, a mimo to bardzo dużo osób jest samotnych. Do tego tematu – samotności i pewnego odosobnienia mimo pozornego połączenia – często wracamy też w naszych utworach.

– To są Wasze osobiste historie czy historie innych ludzi?

Benek: – Jedno i drugie. To często zlepki różnych doświadczeń. Słuchamy tego, przez co przechodzą inni ludzie, a sami również mamy za sobą różne sytuacje i okresy przytłoczenia światem. Myślę, że każdy z nas miał taki moment. Szczególnie pokolenie urodzone po 2000 roku doświadcza rzeczy, z którymi wcześniejsze generacje nie musiały się mierzyć w takiej formie. W naszych tekstach mieszają się więc nasze historie i historie innych ludzi.

– Jesteście bardziej millenialsami czy zetkami?

Benek: – Zdecydowanie zetkami. Wszyscy urodziliśmy się po 2000 roku. Johnny jest z 2002, Delia z 2003, ja z 2001 roku.

– Wyglądacie jednak bardzo poważnie. Biją od Was dojrzałość i spokój. Czym chcecie wypełnić tę „tabula rasę”? Zespołów i wykonawców jest dziś mnóstwo, muzyka jest produkowana masowo i często staje się jedynie tłem. Co chcecie wnieść od siebie?

Delia: – Przede wszystkim chcemy wypełnić pustkę, która moim zdaniem przejawia się dziś w tekstach wielu artystów. Oczywiście nie chcę nikomu niczego ujmować, ale brakuje mi trochę przekazu, który pozwala zatrzymać się przy utworze, zastanowić nad jego znaczeniem i znaleźć własną interpretację. Muzycznie również staramy się wypełniać przestrzeń prawdziwymi instrumentami. Nie korzystamy wyłącznie z gotowych bitów czy rozwiązań przygotowanych przez kogoś innego. Sami tworzymy wszystko od A do Z. To jest dla nas ważna wartość.

MUSIMY JAKO MŁODZI LUDZIE ZAADAPTOWAĆ SIĘ DO NOWYCH CZASÓW I NOWYCH SYTUACJI.

– A przecież pozycjonujecie się jako electro rock. Elektronika jednak jest u Was ważna.

Delia: – Oczywiście, że jest. Elektroniczne wstawki i brzmienia są dla nas bardzo ważne, ale komponujemy je sami. Sami dobieramy soundy i tworzymy wszystkie warstwy muzyczne. Elektronika nie jest więc czymś gotowym, tylko elementem naszej własnej koncepcji.

– Po co więc jest Tabula Rasa? Jaki macie cel? Co chcecie przekazać i do kogo chcecie trafić?

Benek: – Myślę, że naszym atutem jest to, że chcemy przekazywać trudne rzeczy w prosty sposób. To jest chyba nasza misja. Można tworzyć bardzo trudną muzykę, utwory trwające po kilkanaście minut, w których ktoś znajdzie siebie, ale będzie to pojedynczy słuchacz. My chcemy zachować odpowiedni poziom, ale jednocześnie tworzyć muzykę przystępną. Chcemy, żeby można było jej słuchać bez przygotowania, a dopiero później odkrywać, jak dobrze jest zagrana i wyprodukowana. Trochę jak ze starym popem z lat 90. czy dwutysięcznych, przy którym bawił się cały świat. Kiedy dziś słuchasz tych utworów z większą świadomością muzyczną, nagle dostrzegasz, jak świetne były tam bity, produkcja i wykonanie.

– Bo kiedyś muzykę się pisało, a dzisiaj muzykę się produkuje.

Benek: – Dokładnie. I my chcemy ten stary sposób robienia muzyki

eprasa.pl ede876e26c

zatrzymać, ale jednocześnie go unowocześnić – zarówno pod względem soundu, jak i przekazu.

– Czy chcecie być głosem pokolenia Zet w gitarowym wydaniu? Rock jest przecież niszą wśród młodych.

Johnny: – Nie uważam, że jesteśmy typową reprezentacją naszego pokolenia. Każdy z nas bardzo dużo przeżył, również trudnych sytuacji, które ukształtowały to, kim jesteśmy, jak się wypowiadamy i jakie mamy poglądy. Dzięki tym doświadczeniom trochę dojrzalej podchodzimy do pewnych rzeczy.

Pokolenie Zet może pójść dziś w milion różnych stron. Można iść w trendy, TikToki i nowoczesność, ale można też wybrać dojrzalszą muzykę czy muzykę klasyczną. My chcemy stworzyć coś głębszego, ale jednocześnie dostępnego. Chcemy zachęcać młodych ludzi do refleksji i głębszego poznania.

– Czym zajmujecie się na co dzień?

Johnny: – Studiuję chemię i zajmuję się tworzeniem stron internetowych.

Benek: – Ja zajmuję się ogólnie muzyką. Poza tworzeniem i graniem pracuję również jako realizator.

Delia: – Ja większość czasu poświęcam na rozwój zespołu i projektu, a zawodowo uczę ludzi gry na pianinie.

– Jakie trudne pytania zadajecie sobie jako młodzi ludzie i artyści?

Benek: – Czasami zastanawiam się, czy to, co robię, w pewien sposób mi nie szkodzi. Nasza praca może nie jest obecnie najlepiej płatna, ale spokojnie można powiedzieć, że to są trzy etaty. Praktycznie praca przez całą dobę.

Do tego dochodzi konieczność funkcjonowania w mediach społecznościowych. Jeżeli jesteś osobą publiczną i zespołem, który chce istnieć, musisz być obecny w social mediach. Trzeba śledzić, co się dzieje, być na bieżąco i cały czas tworzyć content. A siedzenie w mediach społecznościowych, nawet jeśli jest częścią pracy, potrafi bardzo mocno wpływać na głowę.

> KIEDY PATRZYMY NA NASZYCH RODZICÓW I NA TO, JAK WYGLĄDAŁO ICH ŻYCIE, WIDZIMY, ŻE RZECZYWISTOŚĆ BARDZO SIĘ ZMIENIŁA.

Gdybym miał pracę, która nie wymaga ode mnie obecności w social mediach, prawdopodobnie nigdy bym się w to nie angażował. Wiem, jak to na mnie działa. Media społecznościowe potrafią uzależniać, szczególnie osoby podatne na szybki dopaminowy „hype". Mechanizmy tych platform są projektowane tak, żeby jak najmocniej przyciągać uwagę. Problem polega na tym, że dla artysty obecność w social mediach stała się właściwie częścią zawodu.

– Gdyby pojawiła się propozycja zagrania supportu przed dużym polskim zespołem, z kim chcielibyście pojechać w trasę?

Benek: – Z Comą. To duży headliner, chyba jeden z największych.

Delia: – Albo z Agnieszką Chylińską.

– A co jest dla Was ważniejsze: zbudowanie wiernej niszy czy dotarcie do jak największej liczby odbiorców?

Benek: – Myślę, że działamy hybrydowo. Nie chcemy zamykać się wyłącznie w niszy, ale też nie robimy muzyki tylko po to, żeby stała się masowa. Rynek się zmienia. Muzyka elektroniczna i alternatywna rosną, więc być może mainstream w przyszłości bardziej się otworzy i zrobi się przestrzeń dla wielu gatunków. Wolimy być na tę zmianę gotowi. Oczywiście chcemy trafić do jak największej liczby słuchaczy.

Delia: – Powiedziałabym nawet bardziej jednoznacznie: chcemy docierać do większej liczby osób i szerzyć przekaz zawarty w naszych piosenkach. Fajnie jest mieć swoją niszę i własną subkulturę, ale nasza muzyka jest na tyle urozmaicona, że może trafić do różnych ludzi, nie tylko do fanów rocka. Dostajemy komentarze od osób, które na co dzień nie słuchają takiej muzyki, ale „Diamenty" do nich trafiły. To pokazuje nam, że nie musimy zamykać się w jednej grupie odbiorców.

Johnny: – Nie widzę nas jako zespołu, którego wszyscy będą słuchać jak typowej gwiazdy pop. Nie robimy muzyki typowo popowej ani masowej. Każdy nasz utwór jest trochę inny. „Diamenty" są chyba najbardziej ogólnodostępnym kawałkiem, ale mamy też utwory, które nie trafią do każdego. I dobrze. Niektóre mogą dotrzeć do szerokiego grona, inne zbudują własną niszę.

> NIE JESTEŚMY TYPOWĄ REPREZENTACJĄ NASZEGO POKOLENIA.

– Jak najprościej wytłumaczylibyście statystycznemu Kowalskiemu, jaką muzykę gracie?

Benek: – Gitarową, energetyczną, nośną, łatwą i lekką. Paradoksal-

eprasa.pl ede876e26c

nie, mimo że jest ciężka, jest lekka w odbiorze. To rockowe granie, więc dla kogoś, kto słucha wyłącznie lekkiego popu, będzie to cięższe brzmienie. Są przestery, mocny wokal, syntezatory i bas, ale staramy się, żeby wszystko było łatwe do przyswojenia.

Cały proces twórczy jest zresztą bardzo żmudny. Na siedem numerów, które ostatecznie mogą znaleźć się na płycie, mamy dziesiątki milionów pomysłów. Zanim jeden riff naprawdę „siądzie", można zagrać ich setki. Ostatecznie staramy się wybierać rzeczy nośne, łatwe do przyswojenia, ale jednocześnie w jakimś stopniu wyjątkowe.

– Każdy diament jest jedyny w swoim rodzaju. Jaki jest Wasz diament? Co chcecie przedstawić odbiorcom poprzez ten singiel?

Delia: – Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to bycie blisko ludzi – moich najbliższych i przyjaciół. Również z zespołem widujemy się przecież częściej niż z rodziną. Staramy się jednak znaleźć balans. Rodzina, przyjaciele i bliskość z drugim człowiekiem są dla mnie takim diamentem. W samym tekście tym diamentem jest jednak człowiek.

Johnny: – Dla mnie diamentami są nadzieja i coś, co zwiastuje, że będzie lepiej. Że wszystko się ułoży. Możemy coś zaplanować i nie wiemy, czy się uda, ale wierzymy, że ostatecznie wszystko pójdzie w dobrą stronę.

Benek: – Dla mnie diament w tym utworze to przede wszystkim idea. Nie do końca osoba, choć można ją tak interpretować. To idea rozwoju. Tego, że każdego dnia wstajemy i mimo bólu, braku ochoty czy trudnych doświadczeń dalej walczymy, próbujemy, rozwijamy się i szlifujemy. Nie spoczywamy na laurach. Staramy się być dobrzy dla siebie i dla innych. O tym ma mówić ten utwór.

Tabula Rasa

to pięcioro ludzi, pięć historii i jedna prawda – emocje, które łączą. Zespół eksploruje nowe obszary rocka, łącząc vintage'owe tradycje z nowoczesnym brzmieniem. Ich muzyka to fuzja potężnych riffów z nowoczesnymi syntezatorami, które nadają utworom hipnotyzującego, futurystycznego charakteru. To muzyka pełna kontrastów i eksperymentów – od mocnych, hardrockowych uderzeń poprzez funk rock i post grunge po subtelne, nostalgiczne przestrzenie dźwiękowe.

Twórczość Tabula Rasa charakteryzuje odwaga w zadawaniu trudnych pytań, zaglądania głębiej i dotykania tego, co często pozostaje niewypowiedziane. Zespół stawia przede wszystkim na autentyczność i ukryte w słowach oraz dźwiękach emocje.

Zespół ma na swoim koncie liczne koncerty, podczas których dzielił scenę m.in. z takimi artystami, jak: Zalewski, Kult, Lady Pank, Dżem czy Happysad. W 2026 roku samodzielnie zrealizowali autorską trasę koncertową – PRZEBUDZENIE, odwiedzając 11 miast w całej Polsce.

Tabula Rasa tworzą:

Beniamin Skoniecki – wokal i gitara,
Delia Janiszewska – instrumenty klawiszowe,
Johnny Mitrowski – gitara prowadząca,
Carlos Ceron Lara – gitara basowa,
Bartosz Kamiński – perkusja.

– Co ma Tabula Rasa, czego nie mają inne zespoły w Polsce?

Benek: – Jest Johnny.

Johnny: – Basista z Chile.

Benek: – I to chyba wystarczy.

– To rzeczywiście mocny argument. A coś jeszcze?

Benek: – Myślę, że wyróżnia nas przeskok pokoleniowy między sekcją rytmiczną a przodem zespołu. My mamy po dwadzieścia kilka lat, a chłopaki z sekcji rytmicznej około czterdziestki.

– Czyli porozumienie ponad podziałami?

Benek: – Właśnie. To jest super.

– Co Was zatem łączy? Macie różne historie, osobowości, a nawet różnicie się pokoleniowo.

Benek: – Każdy z nas jest zupełnie inny, ale znajdujemy sposób, żeby znaleźć wspólny język.

Johnny: – Łączy nas też kreatywność i otwartość. Każdy z nas może bez problemu wyjść ze swojej strefy komfortu. Ktoś starszy mógłby być zamknięty na nową muzykę, syntezatory czy elektronikę, ale u nas wszyscy są bardzo otwarci i potrafią iść na kompromisy. Nie mamy problemu z tym, żeby ustąpić i dopasować się do innych.

NIE WIDZIMY SIĘ JAKO ZESPÓŁ, KTÓREGO WSZYSCY BĘDĄ SŁUCHAĆ JAK TYPOWEJ GWIAZDY POP.

Delia: – Dodałabym jeszcze zawziętość. Mimo różnych przeszkód – życiowych czy branżowych – nie poddajemy się. Wspólną energią idziemy dalej po swoje, ale przede wszystkim chcemy robić to w zgodzie ze sobą.

eprasa.pl ede876e26c



Fot. Wikimedia Commons

Stulecie Konwickiego

Tadeusz Konwicki, pisarz i filmowiec, obchodziłby w tym roku setną rocznicę urodzin. Przyszedł na świat w Nowej Wilejce 22 czerwca 1926 roku w domu przy ulicy Letniej. Jego życiorys mógłby być **podstawą kilku biografii**.

Piotr Łopuszański

Autor socrealistycznych książek i pisarz publikujący w drugim obiegu, chłopak z partyzantki antyradzieckiej i tumfacki Borejszy, a potem działacz PZPR. Reżyser filmowy, który nie studiował reżyserii, delegat na kongres PEN Clubu, który nie był członkiem tej organizacji. Ponury Litwin i bywalec warszawskiej kawiarni „Czytelnik". Jeden z najbardziej znanych literatów w stolicy, a zarazem człowiek, którego nikt nie rozpoznaje na Nowym Świecie.

W okresie PRL Konwicki podkreślał pochodzenie robotnicze oraz pracę przy budowie Nowej Huty. Wyliczał swoje książki, w tym socrealistyczne: „Przy budowie", „Władza", „Z oblężonego miasta". W latach 70. należał do twórców, którzy pisali w drugim obiegu, gdzie wydano jego „Kompleks polski", „Małą apokalipsę" oraz „Wschody i zachody księżyca".

W połowie lat 80. Konwicki wymyślił, że jego babka z litewskiego dworku miała romans z Żydem, a jego ojciec był owo-

eprasa.pl ede876e26c

cem tego romansu. Wykorzystał ten pomysł w powieści „Bohiń", wydanej ponownie w oficjalnym wydawnictwie po latach konspiracji. Powieść ukazywała sytuację na Wileńszczyźnie po upadku powstania styczniowego i nawiązywała np. do „Nad Niemnem" Elizy Orzeszkowej.

W III RP pisarz powoływał się na swoją edukację w gimnazjum wileńskim i na szlacheckich przodków z Wielkiego Księstwa Litewskiego. W „Encyklopedii Solidarności" przypomniano, że w 1968 roku podpisał apel do rektora Uniwersytetu Warszawskiego w obronie protestujących studentów, w 1971 roku apel do władz w obronie działaczy „Ruchu". Protestował przeciwko zmianom w Konstytucji PRL i stawał w obronie represjonowanych robotników i działaczy KOR. W 1978 roku przystąpił do Towarzystwa Kursów Naukowych.

Wtedy w oficjalnych leksykonach i opracowaniach dorobek Konwickiego kończono na „Senniku współczesnym". Nie wymieniano późniejszych powieści („Wniebowstąpienie", „Nic albo nic", „Kronika wypadków miłosnych"). Jakby autor przestał pisać na początku lat 60. Na wymienianie tytułów książek z drugiego obiegu istniał wówczas zapis cenzury.

W swoich książkach wspomnieniowych, w wywiadach i quasi-dziennikach Tadeusz Konwicki twierdził, że należy do pokolenia ludzi wstydliwych, a jednak nieustannie pisał o sobie, swoim życiu, swojej rodzinie, nawet o kocie Iwanie. Siebie wybrał za temat i pod rozmaitymi maskami opisywał swoje życie, zwłaszcza dzieciństwo. Wspominał Kolonię Wileńską, Nową Wilejkę, Wilno. Czytelnicy złaknieni książek o Kresach czytali Konwickiego z dużym zainteresowaniem. Szydził z tego Antoni Słonimski, który twierdził, że nikt nie czytałby autora „Sennika współczesnego", gdyby ten pisał o Bydgoszczy.

Tadeusz Konwicki był w zasadzie sierotą. Ojciec zmarł, gdy Tadzio miał 3 lata. Matka porzuciła syna i dała na wychowanie swoim krewnym. Konwickim zajęła się dalsza krewna, Helena Kowalewska, a potem małżeństwo Blinstrubów z Kolonii Wileńskiej. Młody Tadzio mieszkał w domu przy ulicy Krętej. Niedawno otworzono tam izbę pamięci pisarza. Na starych zdjęciach chłopak wygląda na zalęknionego. Być może szukał miłości i ciepła rodzinnego, ale ich nie znalazł.

Nie zbadał go dotąd żaden biograf. Niejasny jest udział Konwickiego w akcji „Burza" i w partyzantce na Wileńszczyźnie.

W 1948 roku opisał swoje przeżycia w powieści „Rojsty". Książkę zatrzymała cenzura. Być może forma pamiętnika uniemożliwiła potępienie postaw partyzantów Armii Krajowej. Roman Zimand zalecał odrzucenie książki, bo zamiast „straconych złudzeń, wielkiego ideowego obrachunku" powstał chłodny dziennik podziemnego ugrupowania, wręcz „wypracowanie". Powieść ukazała się dopiero w 1956 roku. Bohater nosił pseudonim „Żubr" (sam Konwicki miał pseudonim „Bóbr"), a jeden z partyzantów – „Sułtan" – w rzeczywistości nosił przezwisko „Maharadża". Była to więc powieść z kluczem. Po latach dawny dowódca oddziału Ryszard Kiersnowski („Puchacz") zarzucił Konwickiemu kłamstwa. Według niego w powieści lepiej są przedstawieni funkcjonariusze NKWD niż Polacy.

W powieściach i filmach Konwickiego powtarza się motyw wyroku za zdradę. Trzech ludzi ma zabić bohatera. Tak jest w socrealistycznej „Władzy" oraz w filmie „Zaduszki", w którym dochodzi do egzekucji.

W OKRESIE PRL KONWICKI PODKREŚLAŁ POCHODZENIE ROBOTNICZE ORAZ PRACĘ PRZY BUDOWIE NOWEJ HUTY. WYLICZAŁ SWOJE KSIĄŻKI, W TYM SOCREALISTYCZNE: „PRZY BUDOWIE", „WŁADZA", „Z OBLĘŻONEGO MIASTA".

Jako pisarz Konwicki idealizował Wileńszczyznę, która stanowiła dla niego raj. Podobnie Zbigniew Herbert, który pierwsze 20 lat spędził w polskim Lwowie, wracał myślą do tego miasta. Po wojnie nigdy już tam nie wrócił. Konwicki był w Wilnie. Kręcił tam sceny do filmu „Lawa".

W czasie wojny Konwicki pracował jako robotnik, chodził też na tajne komplety. Zaciągnął się do 8. Brygady Armii Krajowej. Walczył w partyzantce antyradzieckiej, z której odszedł pod koniec kwietnia 1945 roku. To najbardziej tajemniczy okres w życiu Konwickiego.

eprasa.pl ede876e26c

W „Salcie” to tylko senne koszmary. W filmie „Jak daleko stąd, jak blisko” ludzie, którzy chodzą za bohaterem, to dawni koledzy z oddziału, niemający wrogich zamiarów.

Jak było naprawdę? Czy Konwicki zdradził? Odszedł z oddziału, ale za to nie dostawało się wyroku śmierci. Lech Leon Beynar też odszedł (we wsi Jasienica) i od tej pory pisał jako Paweł Jasienica. Dawni koledzy nie wydali na niego wyroku.

Tadeusz Konwicki przez lata chorował na raka krtani. Nie mógł mówić. To choroba symboliczna. Autor, który nie chciał powiedzieć prawdy o sobie, stracił głos. W książkach autotematycznych („Nowy Świat i okolice”, „Pamflet na siebie”) i w wywiadach nieustannie opowiadał te same anegdoty, skrywał tajemnice swojej działalności w partyzantce, zasłaniając się brakiem pamięci.

Po wojnie mieszkał w Gliwicach, a następnie podjął studia polonistyczne w Krakowie. Studiów nie ukończył. Za to rozpoczął pracę w tygodniku „Odrodzenie”. Najpierw jako korektor, potem redaktor. W 1947 roku przeprowadził się do Warszawy. Mieszkał w hotelu Bristol, a następnie w przedwojennej kamienicy przy ul. Frascati 1. Kontynuował studia na Uniwersytecie Warszawskim.

Opowiedział się za nową władzą. Pisał agitki propagandowe, a po śmierci Tadeusza Borowskiego został przyjęty do PZPR. Konwicki bardzo szybko po wojnie wszedł w bliskie kontakty z komunistami, ba, stał się prawą ręką Jerzego Borejszy, twórcy powojennego socjalistycznego koncernu (jeśli to nie sprzeczność) „Czytelnik”. To było nie tylko wydawnictwo książkowe. „Czytelnik” wydawał prasę, organizował Kongres Pokoju. Młody akowiec i stary komunista jeździli jednym samochodem po Warszawie. A przecież w tym czasie ubecy przyszli do matki Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, chcąc aresztować jej syna, wtedy wielu powstańców warszawskich i uczestników akcji „Burza” siedziało w więzieniach, wielu zostało zamordowanych. A Konwicki został zaangażowany do redakcji „Nowej Kultury” i pisał produkcyjniaki.

Było kilku pisarzy o takim rodowodzie: Roman Bratny (właściwie Roman Jerzy Mularczyk), Lesław Bartelski czy Kazimierz Koźniewski (który zresztą donosił na kolegów). Inni jednak, jak Zbigniew Herbert czy Jacek Woźniakowski, wybrali inną drogę i raczej współpracę z „Tygodnikiem Powszechnym” niż „Nową Kulturą”.

Konwicki wyznawał, że po wojnie załamał się jego dawny świat. Rozważał emigrację, wstąpienie do zakonu. Wybrał akces do ludzi, którzy przejęli w Polsce władzę na radzieckich czołgach. Napisał reportaż „Przy budowie”, za który dostał Nagrodę Państwową.

Kilka lat po ślubie z córką Alfreda Lenicy Danutą zamieszkał w domu przy ulicy Górskiego, w którym spędził ponad 60 lat. Tu w „nuży” pisał ręcznie na odwrotach starych maszynopisów. Część z nich trafiło po śmierci Konwickiego do Biblioteki Narodowej.

Po „odwilży” i odrzuceniu socrealizmu pozwolono mu nakręcić film, mimo że nie miał za sobą studiów filmowych. Wcześniej napisał scenariusz do filmu „Kariera” (o szpiegu, który nie mógł w Polsce znaleźć współpracowników), potem sentymentalny romans „Zimowy zmierzch”. W 1957 roku zrealizował po amatorsku „Ostatni dzień lata” (z Ireną Laskowską i Janem Machulskim”). Stał się twórcą kina autorskiego, nowej fali w polskim kinie. Nakręcił „Zaduszki” z Ewą Krzyżewską, Edmundem Fettingiem i Elżbietą Czyżewską; „Salto” ze Zbigniewem Cybulskim, Gustawem Holoubkiem, Andrzejem Łapickim. Był to ulubiony film Łapickiego. „Jak daleko stąd, jak blisko” z Andrzejem Łapickim, Gustawem Holoubkiem i plejadą aktorów (Anna Dymna, Ewa Lemańska, Stanisław Jasiukiewicz, Zdzisław Maklakiewicz) nakręcił w momencie, gdy Edward Gierek doszedł do władzy i cenzura pozwoliła na film rozrachunkowy. To wędrówka w przeszłość i ponowne spotkania z umarłymi. Świetną muzykę skomponował do niego Zygmunt Konieczny.

W latach 70. pisarz kontestował politykę kulturalną Gierka. Wtedy SB nagrała rozmowy Konwickiego ze Stanisławem Dygatem, któremu założyła podsłuch. Panowie kpili z kolegów po piórze, zastanawiali się, kto się „skończył”, a kto jeszcze „rokuje”. Konwicki żartował, że

PO „ODWILŻY” I ODRZUCENIU SOCREALIZMU POZWOLONO MU NAKRĘCIĆ FILM, MIMO ŻE NIE MIAŁ ZA SOBĄ STUDIÓW FILMOWYCH.

eprasa.pl ede876e26c

Jerzy Andrzejewski wiele by dał, żeby władza wsadziła go do obozu. „Co za rozdzierające książki powstałyby” – rozmyślał Konwicki. W rozmowie z Dygatem krytycznie oceniał Jarosława Iwaszkiewicza, Romana Bratnego i Jerzego Putramenta, a więc pisarzy lansowanych przez władze. W 1972 roku źle odniósł się do postawy swego przyjaciela Gustawa Holoubka, który za Gierka poszedł na współpracę z systemem, za co uzyskał awans na dyrektora teatru. Holoubek został także posłem na Sejm PRL.

W 1974 roku, gdy Gierek czołobitnie przyjmował Leonida Breżniewa, Tadeusz Konwicki porównał to do wizyty cara. W raporcie SB czytamy: „Konwicki twierdził, że to hołd złożony w ubóstwieniu cara, który został też podniesiony do rangi boskiej, i w związku z tym cała prowincja obchodzi wielkie święto. Ale ja się tym nie wzruszam, mówił, bo jutro może się okazać, że dokonano tam zamachu stanu, ktoś inny jest już pierwszym sekretarzem [...]”.

Wrażenia z państwowej celebry i kryzys gospodarczy zainspirowały pisarza jakiś czas potem do napisania nieprawomyślnej „Małej apokalipsy”, którą Konwicki wydał w podziemnym czasopiśmie „Zapis”. Za tę książkę miał do niego pretensję Jacek Kuroń.

Konwicki w latach 90. napisał jeszcze powieść „Czytadło”, w której ironicznie opisał środowisko literackie, między innymi chorą psychicznie Alicję Lisiecką ze Związku Literatów Polskich, która kiedyś trzęsła środowiskiem.

Dla mojego pokolenia Konwicki był autorem drugiego obiegu, ale też wcześniejszych dzieł: „Sennika współczesnego” i „Kroniki wypadków miłosnych”. Nazywałem go „poetą polskiej prozy” z uwagi na piękno i poezję zdań z powieści i scenariuszy filmowych. W „Kalendarzu i klepsydrze”, autobiograficznej książce, opisał w krzywym zwierciadle swoich przyjaciół: Dygata (który się obraził), Łapickiego i Holoubka. Spory i mroczny ustęp dotyczył krytyka Wilhelma Macha. Na prośbę jego rodziny we wznowieniu usunięto ten fragment, za to przywrócono zdania wykreślone przez cenzurę. Zatem gdy ktoś chce poznać całość „Kalendarza i klepsydry”, musi sięgnąć po wydanie z 1976 i z 2005 roku.

W LATACH 70. PISARZ KONTESTOWAŁ POLITYKĘ KULTURALNĄ GIERKA.

Przez lata miał swój stolik w „Czytelniku”, gdzie przesiadywali Leopold Tyrmand, Stanisław Dygat, Gustaw Holoubek, Michał Komar, Jan Pietrzak i wielu innych. Po latach z Holoubkiem i Łapickim bywał w kawiarni Bliklego i wspominał dawne czasy. Łapicki porównywał ich rozmowy do występu starców z programu „Muppet Show”.

Autorka książki „Konwicki. Cudzoziemiec tranzytowy” Lidia Sadkowska-Mokkas, uwierzyła w wypowiedzi pisarza i cytowała jego wywiady oraz utwory literackie, jakby to były wiarygodne źródła, a tak nie jest. Konwicki często konfabulował i na przykład o wyrzuceniu go z PZPR w 1966 roku opowiadał zabawne relacje. Jednakże w dokumentach czytamy zupełnie inne jego wypowiedzi niż te, które przekazał czytelnikom.

Nawet tak zwyczajna sprawa jak nagranie Wielkiej Improwizacji przez Holoubka do filmu „Lawa” ma dwie wykluczające się wersje. Konwicki w wywiadach twierdził, iż nagrał dwie – najpierw Holoubek wygłosił tekst Adama Mickiewicza na swój sposób, z pauzami. Zniecierpliwiony Konwicki jako reżyser filmu polecił mu, żeby powiedział ten monolog szybciej. W jednym z wywiadów pisarz powiedział, że lepsza okazała się oryginalna interpretacja Holoubka. W książce „W pośpiechu” podał, że lepsza była ta szybsza interpretacja, którą zaproponował aktorowi. Jak więc było naprawdę?

KONWICKI W LATACH 90. NAPISAŁ JESZCZE POWIEŚĆ „CZYTADŁO”, W KTÓREJ IRONICZNIE OPISAŁ ŚRODOWISKO LITERACKIE.

Do dziś biografowie nie zbadali dokumentów rodzinnych pisarza i opierają się na jego wypowiedziach oraz książkach. Nie przeprowadzono badań w archiwach, nie sięgnięto nawet po akta paszportowe. Do dziś nie wiemy, kim naprawdę był Tadeusz Konwicki.

eprasa.pl ede876e26c

FILM



Orwell dzieciom

Na ekrany wchodzi trzecia już pełnometrażowa animowana adaptacja „Folwarku zwierzęcego" według powieści George'a Orwella. Zmienione zakończenie i nową wymowę filmu można by uznać za znak czasów. Jeśli jednak pogrzebać głębiej, okazuje się, że i dotychczasowe ekranizacje **dopisywały swoje puenty** do dzieła genialnego pisarza. Adaptacja Andy'ego Serkisa będzie zapewne trudnym przeżyciem dla miłośników twórczości Orwella.

Krzysztof Karnkowski

Wszystkie duże animacje na podstawie „Folwarku" kończą się lepiej niż książka. Pierwsza ekranizacja z 1954 roku (reż. John Halas i Joy Batchelor) jest jej bliska klimatem, lecz kończy się drugą rewolucją. Twórcy wpisali się w logikę rozkręcającej się dookoła zimnej wojny. Niebezinteresownie. Ich prace po cichu wspierała CIA, widząc tu szansę na wykreowanie odpowiedniego przekazu propagandowego. To najbardziej mroczna i surowa ekranizacja, a przy tym, inaczej niż później, antykomunizm jest tu postawiony w samym centrum przekazu. Tu nikt nie bawi się w uniwersalną krytykę władzy, można by więc uznać, że w jakimś stopniu jest to teza, której film Serkisa stał się antytezą. Po drodze mamy jeszcze bliższą współczesności produkcję Johna Stephensona z 1999 roku z udziałem ludzi i prawdziwych zwierząt. Tu też zmieniono zakończenie, które bliskie jest porównywanej czasem z dziełem Orwella książce „Bunt" Władysława Reymonta. Reżim upada, a gospodarstwo wraca w ręce ludzi, tym razem na szczęście trochę lepszych.

eprasa.pl ede876e26c



Fot. materiały dystrybutora

Do trzech razy sztuka

Andy Serkis podkreślał, że jego celem nie było przygotowanie wiernej, literalnej ilustracji powieści, lecz przybliżenie „Folwarku zwierzęcego" młodszym widzom i odniesienie jego przesłania do współczesności. Dlatego konkretną alegorię rewolucji rosyjskiej i stalinizmu zastąpił bardziej uniwersalną opowieścią o narodzinach tyranii, propagandzie, konformizmie i odpowiedzialności obywateli za ludzi, którym powierzają władzę. Bardzo dużo dostajemy tu krytyki kapitalizmu czy systemu bankowego. Napoleon ma swojego specjalistę od PR, wszystko jest obserwowane z dronów, a po szosach źli bogacze jeżdżą kanciastymi autami przypominającymi Tesle. Rolę przewodniczki dla dzieci otrzymała wymyślona na potrzeby filmu młoda świnka Lucky obserwująca, jak obietnica równości przeistacza się w dyktaturę Napoleona. Twórcy świadomie złagodzili również pesymistyczny finał prozy Orwella: chcieli, aby młoda publiczność nie wychodziła z kina z przekonaniem, że bunt zawsze kończy się klęską, lecz z poczuciem, że nawet po politycznej katastrofie można wyciągnąć wnioski, przeciwstawić się złemu przywódcy i spróbować zbudować wspólnotę od nowa. Familijna przygoda, humor i optymistyczna puenta miały więc nie tyle usunąć politykę z „Folwarku", ile uczynić ją przystępnym punktem wyjścia do rozmowy dzieci z dorosłymi. Tyle że to prowokuje pytanie, ile zostało Orwella w Orwellu? I drugie: czy takie ingerencje w oryginał same w sobie nie są na swój sposób „orwellowskie"? Spójrzmy na postać wzorowanego na Trockim Snowballa. Wygryziony przez Napoleona knur w nowej wersji stał się świnią Pigułą, ewidentnie rodzaju żeńskiego. Konflikt tej dwójki odczytać można jako spór oświecenia i odpowiedzialności z prostackim populizmem. Pigułа chce zaoszczędzić część zbiorów i zbudować elektrownię wodną. Napoleon zbywa ją słowami, że to nudne, następnie przystępuje do przejadania zapasów i, używając języka współczesnej polskiej polityki, rozdawnictwa. Na tej płaszczyźnie nowy „Folwark" można uznać za powielanie elitarystycznych, liberalnych klisz i odnaleźć w nim pewne strachy i kompleksy polskiego intelektualisty wychowanego na Adamie Michniku i ks. prof. Józefie Tischnerze.

Trudne zadanie

Pierwsze obawy, również wśród polskich odbiorców, pojawiły się już po publikacji zwiastunów, które zapowiadały nie tyle nową interpretację Orwella, ile jego daleko posunięte „ufamilijnienie". Tańczące współczesne tańce rodem z rapowych teledysków świnie, żarty fizjologiczne (puszczanie wiatrów to dla Napoleona dźwięk wolności, cóż, zachowuje się zgodnie z ludzkim wyobrażeniem świni, co nie spodoba się zapewne naszemu Ministerstwu Klimatu i Środowiska), popowe piosenki, współczesny slang i gwiazdorska obsada głosowa budziły pytanie, czy twórcy nie pomylili przystępności z infantylizacją. Szczególne wątpliwości wywoływał Seth Rogen w roli Napoleona oraz wprowadzenie Lucky'ego – nowej postaci mającej ułatwić dzieciom wejście w opowieść, ale zarazem przesuwającej jej środek ciężkości ku konwencjonalnej historii dorastania. Komentatorzy zastanawiali się również, dla kogo właściwie powstaje ten film: terror, wyzysk i śmierć Boksera – pozostawione przecież w fabule – pozostają zbyt ponure dla najmłodszych, podczas gdy lekki humor i estetyka familijnej animacji mogą odstraszyć starszych widzów oraz czytelników książki. Jeszcze przed premierą podejrzewano więc, że próba pogodzenia politycznej przypowieści z rozrywką dla całej rodziny zakończy się rozbrojeniem tego, co u Orwella było najbardziej gorzkie i niepokojące.

WSZYSTKIE DUŻE ANIMACJE NA PODSTAWIE „FOLWARKU" KOŃCZĄ SIĘ LEPIEJ NIŻ KSIĄŻKA.

eprasa.pl ede876e26c

Orwell w wersji light

Po zachodniej premierze większość recenzentów uznała, że obawy te w znacznej mierze się potwierdziły – pozytywna była niespełna jedna trzecia recenzji zebranych przez Rotten Tomatoes. Najczęściej zarzucano Serkisowi „disneyfikację" Orwella: zastąpienie precyzyjnej satyry na stalinizm dużo bardziej ogólnikową opowieścią o złym przywódcy, połączenie tragedii z błahymi żartami oraz dopisanie optymistycznego finału, w którym młode zwierzęta obalają Napoleona. Zdaniem krytyków taka puenta osłabia sens książki, ponieważ sugeruje, że problemem jest jednostkowy tyran, a nie mechanizm pozwalający rewolucyjnej elicie przejąć język, pamięć i władzę nad całą wspólnotą. Autorytaryzm staje się natomiast jedynie bezwolnym narzędziem kapitalizmu, z którym przegrywa, nim w finale dojdzie do skrojonego pod potrzeby dzieci zwrotu akcji. Krytykowano również nierówny ton i zaskakująco przeciętną jakość animacji, zwłaszcza wobec długiego czasu produkcji i znakomitej obsady. Pojawiały się jednak także głosy przychylniejsze: chwalono aktorów, czytelność scen pokazujących przepisywanie przykazań, propagandę i wyzysk Boksera oraz możliwość wykorzystania filmu jako pierwszego spotkania młodszej publiczności z tematyką autorytaryzmu. Nawet obrońcy ekranizacji przyznawali jednak, że jest to raczej „Orwell light" – przystępne wprowadzenie do rozmowy o książce, a nie pełnoprawny odpowiednik jej politycznej i emocjonalnej siły. Gdy „Folwark zwierzęcy" po raz pierwszy pojawił się oficjalnie na półkach w księgarniach (w PRL drukowany był w podziemiu, a w czasach przełomu w odcinkach ukazywał się w wydawanych przez PRON i tworzących grunt przez zblatowaniem elit obu stron okrągłego stołu „Konfrontacjach"), niektórzy, ku uciesze tych bardziej świadomych czytelników, umieszczali go w dziale rolniczych poradników. Czy jednak nie jest to miejsce lepsze niż półka z książkami dla dzieci? Nowa ekranizacja zderza się z tym dylematem i nie jestem w stanie rozstrzygnąć, na ile jest w stanie się wybronić. Choć mamy tu kilka mocnych scen, w tym tak ważny dla powieści obraz zacierania się różnic między świniami i ludźmi, całość zostaje osłabiona przez wymienione już elementy infantylizacji i tak lubiane przez autorów produkcji dla dzieci odniesienia do współczesnej popkultury. Niektóre sceny, przywołane już w tym tekście, wydają się zbyt mocne dla dzieci, zwłaszcza w kontraście z pozorną beztroską innych sekwencji. To, co przeszłoby w kinie azjatyckim, na Zachodzie wciąż może jeszcze odrzucać, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z ofertą skierowaną do najmłodszych widzów. W filmie „dorosłym" potęgowałoby to wymowę dzieła, tu jednak może doprowadzić do uznania „Folwarku..." za dziwną, groźną bajkę. Nie do końca jasna jest też wymowa polityczna filmu, w którym słuszne ostrzeżenia mieszają się z typową propagandą.

> ILE ZOSTAŁO ORWELLA W ORWELLU? I CZY TAKIE INGERENCJE NIE SĄ NA SWÓJ SPOSÓB „ORWELLOWSKIE"?

A może jednak...?

Czy to wszystko znaczy, że należy film przekreślić? Podejrzewam, że w dzisiejszych czasach, choć Orwell jest bardzo często przywoływany, cytowany i używany do opisywania rzeczywistości, dla wielu osób jest postacią nieznaną. Tak jak nieznane są kluczowe dla wielu osób postacie czy fakty historyczne, co widać w podawanych często dla poprawy lub pogorszenia samopoczucia śmiesznych filmikach demaskujących kompletną ignorancję przechodniów. Czasem – parlamentarzystów. Rozterki, czy w animacji według Orwella tego Orwella nie jest więc aby za mało, mogą być bez znaczenia dla tych, którzy nie znali książki, względnie tylko kiedyś coś o niej być może słyszeli. Podobnie będzie z dziećmi. A dla nich zostanie przekaz. Ten, pomimo pewnych, być może nawet przez samych twórców nieuświadamianych sobie ich własnych elitarystycznych uprzedzeń, wydaje się w większej części niegłupi, uczulający na mechanizmy władzy, propagandy, a z drugiej strony chciwości i beztroski. Dlatego warto jednak zaryzykować, oczywiście towarzysząc dziecku w tej przygodzie, obejrzeć, a potem... koniecznie przeczytać książkę i podsunąć ją następnemu pokoleniu.

„Folwark zwierzęcy" (Animal Farm), reż. Andy Serkis, scen. Nicholas Stoller, obsada głosowa: Seth Rogen, Andy Serkis, Kieran Culkin, prod. Wielka Brytania, Kanada, 2025, dystrybucja: Galapagos Films.

eprasa.pl ede876e26c

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

JHENÉ AIKO – WESTSIDE WHIMSY
WYD. DEF JAM



Jhené Aiko wraca po sześcioletniej przerwie albumem, który brzmi jak świadomy powrót do własnych korzeni. „Westside Whimsy" to blisko godzinna podróż przez Los Angeles, z charakterystycznym dla artystki połączeniem zmysłowego R&B, miękkiej elektroniki i sennych, niemal medytacyjnych melodii. Aiko nie spieszy się – pozwala utworom oddychać, budując atmosferę bardziej za pomocą barwy głosu i produkcji niż efektownych refrenów. „Break" przynosi niepokój i melancholię, „Beach Boy" – słoneczną lekkość, a „Don't Be That Guy" pokazuje artystkę stawiającą granice bez podnoszenia głosu. Gościnne występy Kendricka Lamara, Ab-Soula, Tygi i Larry'ego June'a wzmacniają lokalny, kalifornijski charakter całości. To album subtelny, zmysłowy i konsekwentny – bardziej do zanurzenia się w jego nastroju niż do szybkiego zachwytu pojedynczym przebojem.

ELLIE GOULDING – YOU KNOW TOO MUCH
WYD. POLYDOR RECORDS



Ellie Goulding na „You Know Too Much" pokazuje się z bardziej osobistej strony niż na wielu swoich ostatnich wydawnictwach. To rozszerzona, 22-utworowa wersja historii rozpoczętej na „I Know Too Much": zamiast bezpiecznego, perfekcyjnie skrojonego dance-popu dostajemy opowieść o toksycznych relacjach, rozczarowaniu, pamięci i próbie odzyskania własnej równowagi. „Black Prada Dress" i „Misremember You" dobrze pokazują tę zmianę – Goulding nie ukrywa emocji za produkcyjną fasadą, lecz pozwala im wybrzmieć. Jednocześnie nie rezygnuje całkowicie z parkietu: „Ravers" przypomina, że jej popowa tożsamość wciąż ma klubowy puls. Problemem może być nadmiar – 22 utwory i ponad 75 minut muzyki sprawiają, że nie wszystkie momenty mają tę samą siłę. Najciekawsze są jednak te, w których Goulding brzmi nie jak gwiazda popu, lecz jak wokalistka próbująca poukładać własne wspomnienia.

BLOC PARTY – ANATOMY OF A BRIEF ROMANCE
WYD. CONTAGIOUS LTD



Bloc Party wracają z albumem, który zamiast próbować wskrzesić ducha „Silent Alarm", wybiera znacznie bardziej osobistą drogę. „Anatomy of a Brief Romance" to chronologiczna opowieść Kele Okereke o zakochaniu, namiętności, kryzysie i rozpadzie związku. Teksty są bezpośrednie, chwilami wręcz diarystyczne, a ich emocjonalna szczerość stanowi największą siłę płyty. Muzycznie zespół przesuwa się jednak w stronę syntezatorowego popu, electro i bardziej wypolerowanej alternatywy. Produkcja Trevora Horna nadaje całości elegancki, szeroki szlif, ale jednocześnie odbiera części utworów dawną nerwowość i nieprzewidywalność. To właśnie tu pojawia się największy paradoks albumu: Bloc Party mają dziś więcej do powiedzenia niż kiedykolwiek, ale mówią to językiem mniej ekscytującym niż dwie dekady temu. Mimo to trudno odmówić tej płycie odwagi i emocjonalnej konsekwencji.

JACK GRAY – SWIMMING IN JEANS
WYD. ISLAND RECORDS



Jack Gray debiutancki album „Swimming In Jeans" traktuje jak przestrzeń do swobodnego mieszania popu, rocka i młodzieńczej wrażliwości. Dwanaście utworów układa się w dynamiczny, niewymuszony zestaw, w którym obok chwytliwych melodii pojawiają się bardziej intymne momenty. Tytułowy „Swimming In Jeans" jest jednym z naturalnych punktów ciężkości płyty – lekki, melodyjny i zbudowany wokół charakterystycznego głosu Graya. „Blind Lovin'" pokazuje jego bardziej romantyczną stronę, podczas gdy „Dumb Sh*t" czy „Teen Jesus" pozwalają mu na większy luz i poczucie humoru. Największą zaletą albumu jest brak przesadnej pozy: Gray nie próbuje na siłę udowodnić, że jest kimś więcej, niż jest. Zamiast tego stawia na piosenki, które mają przede wszystkim dobrze działać. „Swimming In Jeans" nie jest jeszcze deklaracją artystycznej dojrzałości, ale jako debiut ma coś równie ważnego – osobowość i obietnicę dalszego rozwoju.

eprasa.pl ede876e26c

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **22 WRZEŚNIA** zdarzyło się:

1862 – prezydent USA Abraham Lincoln wydał Proklamację Emancypacji znoszącą niewolnictwo na obszarach Skonfederowanych Stanów Ameryki;

1939 – kapitulacja Lwowa przed Armią Czerwoną.



O historii, tak jak o piłce nożnej oraz polityce, dyskutuje się nie tylko na salonach i w gazetach, ale też w pubach czy na boiskach sportowych, choć na tych ostatnich, jak nas uświadamia „Gazeta Wyborcza", dominują niestety „stadionowo-prawicowe ryki". Tygodnik „Przegląd" uświadamia nam jeszcze coś innego, że w sierpniu i wrześniu każdego roku odpala się „**historyczno-wojenny rytuał**", który ino mami Polaków podatnych na bajdurzenia fałszerzy historii.

Historyczny poradnik dla „FAJNOPOLACTWA"

Sebastian Reńca

Fot. M. Żegliński

Uświadomiony więc, że ho ho, będąc przeciwieństwem – jak napisał niedawno na łamach „TS" mój redakcyjny kolega Ludwik Pęzioł – „«Sebastiana» z dzielnicy o wątpliwej renomie, spędzającego długie godziny na siłowni, wspomagającego się zastrzykami z «teścia» i szkalującego policję" – postanowiłem napisać miniporadnik historyczny dla moich ziomków, czyli „fajnopolactwa". Dzięki niemu każdy „fajnopolak" będzie wiedział, w jaki sposób zabłysnąć w towarzystwie jako erysta i nie dać plamy, która

eprasa.pl ede876e26c

mogłaby spowodować stygmatyzowanie pejoratywnymi określeniami, takimi jak chociażby: cham, ciemnogród, prawica vel katoprawica, wiocha, faszysta, zacofaniec etc.

Walka na argumenty

Po pierwsze, należy pozbyć się wszelkich tzw. patriotycznych odruchów i gadżetów. Na przykład gdy 1 sierpnia wyją syreny, nie należy zwracać na nie uwagi, choć przechodnie przystają, a samochody się zatrzymują, trzeba iść, jak gdyby nigdy nic przed siebie. Jedyna nasza uwaga może być skierowana na otoczenie, by w ten sposób namierzyć osobę (oczywiście bez podania płci, bo tych jest więcej niż dwie), która pochodzi zza naszej południowo-wschodniej granicy i w tym momencie przeżywa traumę. Należy zaopiekować się taką osobą i nigdy, ale to nigdy nie wspominać jej, że jej przodkowie walczyli w ogarniętej powstaniem Warszawie. Dlaczego? Ano dlatego, że taka osoba uśmiechnie się i stwierdzi: „To jednak walczyliśmy razem ramię w ramię, nie tylko dawno temu w czasach wojny z bolszewikami, ale również z hitlerowcami vel nazistami" (nigdy nie mówi się Niemcami). Wówczas należałoby zaprzeczyć i powiedzieć, że było inaczej, a tego przecież nie chcielibyśmy, bo w ten sposób sprawiliśmy przykrość osobie uchodźczej.

Gdyby przez przypadek w tym momencie obok nas znalazł się ktoś, kto wówczas złośliwie wspomniałby, że rodacy takiej osoby „rezali Lachów" na Wołyniu i w roku 1920, i w 1943, to wówczas należy odbić piłeczkę i zapytać, w czym Armia Krajowa była lepsza od UPA? Przecież oni też mordowali biednych ukraińskich chłopów. Gdyby jedno pytanie nie wystarczyło, wtedy wytacza się cięższe działa i pyta, czy Narodowe Siły Zbrojne (koniecznie należy dodać przymiotnik „faszystowskie") nie mordowały Żydów i Polaków z Gwardii Ludowej/Armii Ludowej? To powinno wystarczyć i dyskusji więcej nie będzie, bo wszak nie ma co dyskutować z faktami. Jeśli jednak okazało się, że prawicowy interlokutor jest twardzielem, który sobie przypomni, iż jacyś mieszkańcy Kijowa albo Winnicy ciężko pracowali na wieżach wartowniczych w szwabskich obozach rozsianych po całej okupowanej Polsce, to na takie dictum odpowiada się jednym zdaniem: „A Polacy też odpowiadają za Holokaust". I po dyskusji.

Jeśli chodzi o gadżety, to normalny człowiek nie zakłada koszulek z podobiznami rotmistrza Witolda Pileckiego, żołnierzami NSZ czy husarią. Tutaj wyjątkiem mogą być jedynie osoby będące influencerkami, celebrytami osiłkami lub aktorkami z portali dla dorosłych. Im jedynie przystoi paradowanie w koszulkach z kotwicą, czyli symbolem Polski Walczącej. Reszcie – czyli hołocie – wara od nich. Dla ludzi normalnych wskazane są za to koszulki z sierpem i młotem – bo to wyzwoliciele spod faszystowskiego jarzma, facjatą Che Guevary – bo to ikona ikon, albo prezydenta Bieruta, gdyż ten, niczym król Kazimierz Wielki, zastał Polskę przez nazistów zrujnowaną, a zostawił odbudowaną.

Jeśli chodzi o flagę polską, to lepiej zamienić ją na unijną bądź tęczową. Ładniej wyglądają i są cool.

Polak to antysemita

Tak, antysemityzm wyssany przez Polaków z „mlekiem matki" jest najlepszym biczem na katolicko-prawicowe oszołomstwo.

W żadnym innym kraju nie zamordowano w czasie II wojny światowej tylu Żydów, co w Polsce, a to o czymś świadczy. Niemcy... przepraszam, gryzę sięw język i już się poprawiam – naziści nie przez przypadek podbudowali właśnie w Polsce obozy zagłady (koniecznie unika się sformułowań: „w okupowanej Polsce", lub „w Generalnej Guberni"). Nie jest więc również przypadkiem, że prezydent USA Barack Obama używa sformułowania „Polish death camp" albo że o polskich obozach piszą tak znamienite gazety, jak „The Guardian" albo „Corriere della Sera". Skoro oni tak mówią i piszę, to nie mogą się mylić.

> W ŻADNYM INNYM KRAJU NIE ZAMORDOWANO W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ TYLU ŻYDÓW, CO W POLSCE, A TO O CZYMŚ ŚWIADCZY.

Należy również pamiętać, że to w Polsce uprawiano haniebny proceder szmalcownictwa, czyli szantażowania Żydów mieszkających poza gettami na tzw. stronie aryjskiej. Jeżeli w czasie dyskusji przedstawiciel ciemnogrodu wspomni, że w okupowanej Polsce za szmalcownictwo groziła kara śmierci ze strony egzekutorów Polskiego Państwa Podziemnego, wtedy wysuwa się dwa argumenty. Argument pierwszy: owszem, tak było, ale dopiero od wiosny 1943 r. Argument drugi jest zadanym pytaniem: ile takich wyroków wydano i wykonano? Osobnik zapytany odpowie, że nie wie, albo że było ich dużo,

eprasa.pl ede876e26c

wtedy z triumfem mówimy, że było ich jedynie kilkanaście, a to kropla w morzu szmalcowania, jak Polska długa i szeroka.

Aby dobić leżącego, należy zabłysnąć niczym rasowy erudyta i wspomnieć o wierszu Czesława Miłosza „Campo di Fiori" i stwierdzić, że nikt normalny nie bawi się na karuzeli, kiedy obok płonie wielki fragment miasta, gdzie naziści mordują Żydów. Oczywiście można wtedy usłyszeć, że tak było, ale z jednej strony stała karuzela, a z drugiej Armia Krajowa wspierała powstańców walczących w getcie. Żeby nie wchodzić w szczegóły, wystarczy wtedy zapytać po raz ostatni: ile sztuk broni AK przekazała Żydowskiej Organizacji Bojowej. Było tego niewiele, więc temat zostaje zamknięty i wygrana jest nasza.

Prosty przekaz

Prawica nakręciła spiralę opowieści o żołnierzach wyklętych, a przy okazji spiralę nienawiści wobec tych, którzy myślą, wyciągają wnioski i zadają pytania. Przecież było tak – jak napisano w „Przeglądzie" cytującym „odważnego intelektualistę", czyli o. Wojciecha Giertycha, który sobie porozmawiał z Radosławem Sikorskim: wyklęci „siedzieli w lasach, czekali na III wojnę światową i jako ludzie się degenerowali". Nie degenerował się np. taki Bolesław Piasecki, przedwojenny i wojenny narodowiec oraz nacjonalista, po 1945 r. nawrócony na komunizm, który wyszedł z lasu i zaczął normalnie żyć.

> WYKLĘCI „SIEDZIELI W LASACH, CZEKALI NA III WOJNĘ ŚWIATOWĄ I JAKO LUDZIE SIĘ DEGENEROWALI".

Podsumowując, o wyklętych, jeżeli już można mówić, to tylko jako o tych, co rozpętali wojnę domową i zamiast się uczyć i budować, „siedzieli w lasach", a jak nie siedzieli, to mordowali Bogu ducha winnych. Co to za walka z komuną była? Tu napadli na sklep, tam zastrzelili jakiegoś partyjniaka. Po co było to wszystko, skoro Józef Stalin przywrócił nam „polską państwowość".

Gdyby na takie słowa obruszył się patriotyczny prawicowiec, wtedy należy kliknąć w telefon, odszukać tekst w „Przeglądzie" zatytułowany „Fałszywa historia, narodowa megalomania" i pokazać, co pisze jego autor Paweł Siergiejczyk: „Warto jednak pamiętać, że wśród rosyjskich władców, a potem radzieckich przywódców byli i tacy, którzy przyczyniali się do odrodzenia polskiej państwowości: cesarz Aleksander I w 1815 r. i Józef Stalin w 1944 r.". Ano warto o nich z wdzięcznością pamiętać i nie zakłamywać niczym, jak pisze Siergiejczyk, „niedouczony historyk" – czyli prezydent Karol Nawrocki.

> ***Wśród rosyjskich władców, a potem radzieckich przywódców byli i tacy, którzy przyczyniali się do odrodzenia polskiej państwowości: cesarz Aleksander I w 1815 r. i Józef Stalin w 1944 r.***
>
> PAWEŁ SIERGIEJCZYK

Aleksander zbawiciel

Zacznijmy od Aleksandra I, cara Rosji, co to najpierw był zafascynowany francuskim cesarzem Napoleonem, potem się z nim bił, następnie układał w Tylży, a potem znowu bił, bo faszysta Napoleon, razem z faszystami Polaczkami najechał na Rosję i doszedł aż do Moskwy, czego nawet Hitler nie dokonał. Polacy naiwniacy, w imię jakiegoś wyimaginowanego honoru, walczyli u boku francuskiego cesarza, który zamiast – jak Józef Stalin w wieku następnym – być odrodzicielem polskiej państwowości, jakieś rachityczne Księstwo Warszawskie nam stworzył. Poszli więc głupi Polacy na Moskwę, ale w Rosji, że ludzi mnogo, to wyparli cesarskich. Cała Europa biła się z tym uzurpatorem Napoleonem, aż w końcu go pobiła i przegnała na maleńką wyspę. Wtenczas w Europie w końcu nastał upragniony pokój, car wielkiej Rosji dał zaś Polakom żadne tam księstwo, a Królestwo Polskie. To królestwo tak sobie funkcjonowało, mając swój Sejm, konstytucję, szkolnictwo, wojsko i pieniądz, póki paru bęcwałów nie zorganizowało w listopadzie roku 1830 powstania. Powstanie Rosjanie zdławili i Królestwo zlikwidowali.

Przy okazji warto wspomnieć, że powstania narodowe są objawem naszego obłędu, a ich skutkiem jest zawsze nasza hańba i hekatomba. Polak nic innego nie robi, ino knuje od czasów zamierzchłych. Jak nie przeciwko Rosji, to Niemcom, a jak już ich zabraknie, to przeciwko Polakom knuje. Taka Solidarność na przykład spowodowała tylko strajkami upadek naszej prężnej

eprasa.pl ede876e26c

gospodarki. Było tak ciężko, że biedny Wojciech Jaruzelski musiał stan wojenny wprowadzić, bo gdyby tego nie zrobił, to Rosjanie znów by nam urządzili rzeź, jak po powstaniach w wieku XIX. A tak w ogóle, to teraz prawica regularnie pluje na wielkiego człowieka Lecha Wałęsę, co to sam jeden obalił komunę, niczym pijak „stakana". Zamiast być wdzięczni naszemu nobliście, to słuchają, głupki, w internetach niejakiego Sławomira Cenckiewicza i powielają jego brednie, co prezydent Wałęsa nieraz udowodnił swymi wpisami w soszjalach, jak ten: „Cenckiewicz ! pomiocie UB-ecki zrozum wreszcie prawda musi zwyciężyć". I dalej: „To ja od pamiętnego grudnia 1970 r poprzez sierpień 1980 r walcząc swoimi kombinacyjnymi metodami doprowadziłem do skończenia komunizmu i wyrwania Polski z objęć ZSRR, wytyczając kierunek UNIA i NATO. Bez mojego udziału prawdopodobnie byłoby to niemożliwe" – pisownia oryginalna, bo nie wypada poprawiać noblisty. Jak to mówią, mądremu wystarczy, a głupi i tak nie zrozumie.

Najprawdziwsza prawda

Latami 80., dziejami Solidarności i jej bohatera Lecha Wałęsy odbiegliśmy nieco od tematu naszego poradnika, choć nie do końca, bo i te argumenty mogą się przydać w walce z prawicowym oszołomstwem.

Wróćmy do Józefa Stalina, naszego ojca i wybawiciela (już tak pisali o nim nasi wielcy poeci, zresztą też nobliści jak Lechu: Czesław Miłosz i Wisława Szymborska), który przyczynił się do odrodzenia polskiej państwowości w roku 1944.

Najpierw, żeby to zrobić, zawarł taktyczny pakt z III Rzeszą w 1939 r. Dzięki niemu już wtedy ocalił Ukraińców, Białorusinów i Litwinów przed nazistami. Dwa lata później, po zdradzieckim ataku nazistów na swój kraj, stał się człowiekiem, o względy którego zabiegał cały Zachód, więc i dla nas stał się sojusznikiem naszych sojuszników.

> POWSTANIA NARODOWE SĄ OBJAWEM NASZEGO OBŁĘDU, A ICH SKUTKIEM JEST ZAWSZE NASZA HAŃBA I HEKATOMBA.

To wielka Armia Czerwona pokonała nazistów i wyzwoliła Polskę, dlatego jak grzyby po deszczu wyrosły w naszym kraju pomniki wdzięczności. Za co byliśmy wdzięczni? Ano za to, że skończyła się nazistowska okupacja, też za wielki pałac górujący nad naszą odbudowaną stolicą oraz za to, że Stalin w swej wielkiej mądrości odebrał Polsce jej ziemie wschodnie, tym samym pozbyliśmy się mniejszości narodowych, a dał nam żyzne w dobrą ziemię i minerały poniemieckie tereny, tzw. ziemie odzyskane. Mówiąc o tym, ani słowem nie wolno wspominać o tysiącach wywiezionych w tym czasie do sowieckich łagrów ani o rozszabrowanych hutach czy kopalniach, ani tym bardziej o gwałcicielach i miłośnikach zegarów, którzy nas wyzwalali. Ponadto winniśmy dozgonnie dziękować Stalinowi za to, że nie zrobił nas radziecką (nigdy nie piszemy ani mówimy sowiecką) republiką, tylko jak car Aleksander I dał nam państwo polskie. Z polską partią, co to się zjednoczyła, z polskim językiem i historią w szkołach oraz na uniwersytetach, z polskim hymnem, pieniądzem, Sejmem i rządem oraz z bazami wojskowymi, które były niczym straszak wobec wrednych postnazistowskich Niemiec, które wciąż myślały o odzyskaniu swych wschodnich ziem.

Mądrość Stalina nie skończyła się oczywiście na jego śmierci. Po nim przejął pałeczkę Chruszczow i kolejni pierwsi sekretarze Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, aż po ostatniego Michaiła Gorbaczowa.

A teraz fałszerze historii, na czele z Instytutem Pamięci Narodowej, zburzyli stojące w Polsce wszystkie pomniki wdzięczności Armii Czerwonej. Mało tego – jak nas uświadamia Siergiejczyk w „Przeglądzie" – stamtąd, czyli z IPN, „już od ćwierćwiecza płynie pseudohistoryczna propaganda, jaką daje się usłyszeć podczas kolejnych rocznicowych poglądów".

> PRAWICA REGULARNIE PLUJE NA WIELKIEGO CZŁOWIEKA LECHA WAŁĘSĘ, CO TO SAM JEDEN OBALIŁ KOMUNĘ, NICZYM PIJAK „STAKANA".

Nie dajmy się fałszerzom historii! Prawda nas wyzwoli, niczym dzielna Krasnaja Armia. Urra!

eprasa.pl ede876e26c

Abp Fulton Sheen. ŻYCIE WARTE ŻYCIA

Na 24 września 2026 r. została zaplanowana beatyfikacja sługi Bożego Fultona Johna Sheena, **najsłynniejszego** amerykańskiego kaznodziei katolickiego XX wieku.

Agnieszka Żurek



Biskup Fulton Sheen w Jerozolimie, 22 marca 1961 r.

Fot. TopFoto / Topfoto / Forum

eprasa.pl ede876e26c

Jesteś wiernym synem Kościoła – powiedział do abp. Sheena św. Jan Paweł II podczas swojej papieskiej pielgrzymki do Stanów Zjednoczonych w 1979 roku. Komentatorzy katoliccy widzieli w spotkaniu tych dwóch duchowych gigantów swoiste „przekazanie pałeczki" przez odchodzącego już amerykańskiego hierarchę rozpoczynającemu pontyfikat polskiemu papieżowi.

„Sława jest jak dym"

Fultona Sheena i Karola Wojtyłę łączyło bardzo wiele – począwszy od maryjności, wierności modlitwie kontemplacyjnej przed Najświętszym Sakramentem po antykomunizm i potępienie wszelkich totalitaryzmów.

Wspólne dla nich było także łączenie głębokiej pobożności i postawy całkowitego zaufania Bożej Opatrzności z intelektualnym i filozoficznym zgłębianiem prawd wiary. Nie stronili oni od korzystania z wiedzy o psychologii człowieka, a także chętnie używali nowoczesnych form przekazu do rozpowszechniania niezmiennych prawd ewangelicznych.

Obaj nie dali się także „zawłaszczyć" politycznie. Mimo iż potępiali komunizm, potępiali także wojny, również te uważane przez dużą część amerykańskich konserwatystów za „sprawiedliwe". Arcybiskup Fulton Sheen potępił amerykańską inwazję na Wietnam, a papież Jan Paweł II w podobny sposób skrytykował decyzję administracji USA o ataku na Irak.

Fulton Sheen był duchowo bardzo bliski także innemu polskiemu świętemu – Maksymilianowi Kolbemu. Zrealizował dokładnie to, co było wielkim marzeniem męczennika z Auschwitz, przerwanym przez wybuch II wojny światowej, czyli wykorzystanie nowoczesnych środków przekazu, takich jak prasa, radio i telewizja, do niesienia na cały świat nauki Jezusa Chrystusa.

Fulton Sheen zrobił jako radiowy i telewizyjny kaznodzieja furorę, a tygodniowa oglądalność programów z jego udziałem liczona była w milionach. Zdobywał nagrody dla wybitnych osobowości medialnych, sam jednak podkreślał, że woli być nazywany raczej „siewcą Słowa". Zaznaczał, że sława „jest jak dym, którego woń może być przyjemna, ale którym nie wolno oddychać, żeby się nie udusić". Był człowiekiem skromnym i mającym dużo dystansu do siebie, nie podlizywał się wiernym i nie „unowocześniał" przekazu ewangelicznego ani nie próbował go zmiękczyć czy „dostosować do współczesnych realiów".

Robił jednak co innego – wyjaśniał go, pogłębiał refleksję, korzystał ze współczesnej sobie wiedzy socjologicznej i politologicznej, stale samemu się ucząc i przekazując zdobyte doświadczenia innym. Stał na stanowisku, że w wielu przypadkach źródłem niechęci do Kościoła jest brak wiedzy bądź uleganie stereotypom, i starał się zaradzić temu poprzez pełen szacunku dialog z każdym, kto był otwarty na konstruktywną dyskusję. Nie bał się rozmów z niewierzącymi (co skutkowało nawróceniami, także tymi bardzo głośnymi, jak np. w przypadku Belli Dodd, prominentnej działaczki komunistycznej zajmującej się infiltracją Kościoła katolickiego), wyznawcami innych religii, a przede wszystkim nigdy nie pozwolił sobie na zamknięcie się we własnej wygodnej „bańce" i oderwanie od zwykłych ludzi i ich codziennych problemów.

Źródłem ateizmu bywa grzech

Choć był otwarty na rozmowę z każdym, to jednocześnie nie rozmywał własnej tożsamości, a tym bardziej sensu Słowa Bożego, dla czyjejś wygody. Starał się wychodzić naprzeciw poszukującym, potrafił jednak jednocześnie zdobyć się na konkluzję, iż w wielu przypadkach źródłem zatwardziałego ateizmu nie jest brak wiedzy czy błędy Kościoła, ale czyjeś osobiste przywiązanie do własnego grzechu. Za grzesznika uważał także sam siebie, podkreślając, iż jego biskupi strój to „opakowanie dla bardzo niedoskonałego człowieka".

FULTONA SHEENA I KAROLA WOJTYŁĘ ŁĄCZYŁO BARDZO WIELE – POCZĄWSZY OD MARYJNOŚCI, WIERNOŚCI MODLITWIE KONTEMPLACYJNEJ PRZED NAJŚWIĘTSZYM SAKRAMENTEM PO ANTYKOMUNIZM I POTĘPIENIE WSZELKICH TOTALITARYZMÓW.

eprasa.pl ede876e26c

„Nieraz uważamy coś za nowoczesne, ponieważ nie umiemy rozpoznać tego, co dawne. Mnóstwo tak zwanych nowatorskich idei to w rzeczywistości stare błędy, którym nadano nowe nazwy" – pisał w książce „Warto żyć". Amerykański hierarcha potępiał marksizm i komunizm, który nazywał „odwróconą religią" i utopią obiecującą ziemski raj, a w istocie oznaczającą całkowite ubezwłasnowolnienie jednostki na rzecz wszechwładnego państwa. Trafne rozpoznanie natury komunizmu w czasach, kiedy wielu intelektualistów ulegało zaczadzeniu tą ideologią (a często raczej płynącymi z jej głoszenia osobistymi profitami), zjednało mu ogromną przychylność amerykańskich konserwatystów, która jednak częściowo wyparowała w momencie potępienia przez Sheena wojny w Wietnamie. – W imię Boga, przestańcie! – zwrócił się do decydentów w kazaniu wygłoszonym w nowojorskiej katedrze św. Patryka w 1967 roku. W homilii wskazywał na spowodowane wojną cierpienia niewinnej ludności cywilnej oraz na dysproporcję sił pomiędzy wielkim mocarstwem a słabym i biednym krajem. Zwrócił uwagę na kwestię szermowania pojęciem wolności w imię realizacji doraźnych interesów politycznych, a wbrew sprawiedliwości. „Przestańmy zatem, w imię Boga, mówić o wolności, dopóki nie zdecydujemy, dlaczego chcemy być wolni; gdy cały świat szaleje na punkcie wolności – my rozwińmy flagę sprawiedliwości, a wtedy będziemy wolni" – apelował.

Wielu nie spodobało się antywojenne wystąpienie Fultona Sheena i nie był to jedyny wymiar jego działalności, który spowodował krytykę. Nie wszystkim – także w łonie Kościoła – podobały się decyzje finansowe podejmowane przez nowojorskiego arcybiskupa czynione w duchu wspierania najuboższych. Nie wszystkim także było w smak odnoszenie się przez Sheena z miłością do narodu rosyjskiego, o którego nawrócenie się modlił i zachęcał do tego innych, zgodnie z przesłaniem orędzia fatimskiego. Przestrzegał ludzi Zachodu przed wywyższaniem się wobec narodów pozostających poza żelazną kurtyną, wskazując, że to między innymi za sprawą duchowej próżni ludzi, którzy dzięki zdobyczom kapitalizmu i moralnemu relatywizmowi uznali się za niezależnych od Boga, herezje komunizmu trafiły na podatny grunt.

Skoro znów pojawia się postać św. Jana Pawła II, warto przypomnieć o kolejnej, niezwykle ważnej cesze łączącej obu współczesnych proroków. Obaj wskazywali, że wszystko, co w ich życiu ważne i owocne, wykuwa się na kolanach. Abp Sheen codzienne odprawiał Godzinę Świętą przed Najświętszym Sakramentem, zaznaczając, że to stamtąd czerpie nie tylko siłę i duchową pociechę, ale i pomysły na działalność ewangelizacyjną. To właśnie podczas odprawiania Godziny Świętej amerykański kaznodzieja odszedł do Domu Ojca. Stało się to 9 grudnia 1979 roku. Pogrzeb abp. Fultona Sheena zgromadził dziesiątki tysięcy wiernych. Nowojorski kaznodzieja umarł w opinii świętości. Dekret o heroiczności jego cnót zatwierdził papież Benedykt XVI, a cud za jego wstawiennictwem orzekł papież Franciszek. Cudem tym było niewytłumaczalne z medycznego punktu widzenia uzdrowienie chłopca (Jamesa Fultona, którego rodzice gorąco modlili się za wstawiennictwem amerykańskiego arcybiskupa), który przez 61 minut po urodzeniu nie dawał oznak życia. Chłopiec nie tylko powrócił do życia, ale rozwijał się normalnie przez kolejne lata. Kult abp. Fultona Sheena rozszerza się nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i na całym świecie, a krajem, który w tym przoduje, stała się Polska.

FULTON SHEEN ZROBIŁ JAKO RADIOWY I TELEWIZYJNY KAZNODZIEJA FURORĘ, A TYGODNIOWA OGLĄDALNOŚĆ PROGRAMÓW Z JEGO UDZIAŁEM LICZONA BYŁA W MILIONACH.

Godzina Święta

Filozoficzne błędy i wewnętrzne sprzeczności tej ideologii abp Sheen wyjaśniał w telewizyjnym programie „Life is Worth Living" („Życie jest warte życia"). Tłumaczył, że nie ma możliwości, żeby oparty na takich założeniach system państwowy nie doprowadził do tyranii, jeśli za najwyższy autorytet uważana jest partia polityczna. Myśl abp. Sheena rozwinął później św. Jan Paweł II, rozszerzając ją na każdy system polityczny oderwany od systemu wartości. „Demokracja bez wartości łatwo się przemienia w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm" – pisał polski papież na łamach encykliki „Centesimus annus".

eprasa.pl ede876e26c

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Tadeusz Płużański

Ukraiński zamach na Piłsudskiego

25 września 1921 r. we Lwowie Stefan Fedak, ukraiński nacjonalista, dokonał nieudanego zamachu na Józefa Piłsudskiego. Około godziny 21.00, gdy Marszałek Polski wychodził z uroczystego obiadu w tamtejszym ratuszu, 20-letni student i działacz Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (przekształconej w zbrodniczą OUN – Organizację Ukraińskich Nacjonalistów) oddał kilka strzałów.

Piłsudski nie odniósł żadnych obrażeń, ale ranny w rękę został wojewoda lwowski Kazimierz Grabowski. Tłum rzucił się na zamachowca, a przed samosądem uratowała go policja.

Rok 1921 to koniec walki o granice RP. W marcu formalnie skończyła się wojna polsko-bolszewicka zawartym w Rydze traktatem pokojowym. Na Górnym Śląsku po przegranym przez Polaków plebiscycie wybuchło trzecie, tym razem zwycięskie, powstanie. Odbudowane po zaborach państwo doczekało się też pierwszej konstytucji (17 marca 1921 r.). Ustawa zasadnicza zniosła funkcję naczelnika państwa, którą zastąpiono urzędem prezydenta wybieranego przez Zgromadzenie Narodowe. Piłsudski myślał już o opuszczeniu Belwederu – wkrótce znajdzie azyl w podwarszawskim Milusinie.

Marszałek wciąż reprezentował jednak Polskę na arenie międzynarodowej. Za priorytet uważał zapewnienie bezpieczeństwa państwa przez budowę sojuszy wojskowych – dlatego m.in. porozumiał się z Francją. Ale również w polityce wewnętrznej kraju nie było spokojnie. Słaby rząd Wincentego Witosa chylił się ku upadkowi.

W tej sytuacji 25 września 1921 r. Józef Piłsudski przyjechał z oficjalną wizytą do Lwowa. Miał otworzyć zorganizowane tu pierwsze Targi Wschodnie. Tłumy przywitały Marszałka na dworcu, potem była defilada wojskowa i przejazd odkrytym samochodem na Mszę do katedry łacińskiej. Zamachowcy jeszcze wówczas nie zaatakowali. Nie zrobili tego również w Parku Stryjskim, gdzie odbyła się główna uroczystość, czyli właśnie otwarcie Targów.

Piłsudski zdążył jeszcze uczestniczyć w wielu spotkaniach, m.in. z arcybiskupem lwowskim Józefem Bilczewskim, bankowcami, dziennikarzami. W rozmowie z „Ilustrowanym Kurierem Codziennym" mówił o konieczności porozumienia między Polakami i Ukraińcami. W końcu Marszałek udał się do sąsiadującego z katedrą ratusza, aby odsłonić ufundowane przez władze miasta godło państwowe. Po uroczystym obiedzie razem z wojewodą lwowskim Kazimierzem Grabowskim wsiadł do odkrytej limuzyny (Piłsudski usiadł po lewej stronie). Samochód ruszył i wtedy doszło do zamachu.

Gdy rozległ się głośny huk, Marszałek odruchowo pochylił głowę. Tylko dzięki temu cudem uniknął śmierci – pocisk minimalnie minął go i uderzył w szybę samochodu. Padły kolejne dwa strzały. Kule dosięgły wojewodę Grabowskiego, który siedział wyprostowany (myślał, że huk to odgłosy źle wyregulowanego silnika). Piłsudski zrealizował ostatni punkt swojej lwowskiej wizyty – zgodnie z planem odwiedził Teatr Wielki.

Polski sąd skazał zamachowca Stefana Fedaka na sześć lat więzienia (karę zmniejszono mu na skutek amnestii). Mniejsze wyroki dostali inni ukraińscy nacjonaliści organizujący zamach. Wkrótce będą działać w OUN, odpowiedzialnej za ludobójstwo Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. S

eprasa.pl ede876e26c

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Coraz bliżej strajku w Siarkopolu



Fot. M. Zegliński

W jednym z największych przedsiębiorstw w powiecie staszowskim może wkrótce dojść do strajku. Niedawno zakończyło się dwudniowe referendum strajkowe w Siarkopolu. Jak przekazała zakładowa Solidarność, w głosowaniu odbywającym się od 10 do 11 września wzięło udział 77 procent załogi. Za akcją strajkową opowiedziało się 98 procent głosujących.

Solidarność domaga się od kierownictwa firmy spełnienia przede wszystkim trzech postulatów, tj. podniesienia wynagrodzenia zasadniczego pracowników o 1000 zł brutto, pełnego odwieszenia zapisów Zakładowego Układu Zbiorowego Pracy oraz wypłacenia należnych pracownikom zaległych świadczeń i realizacji zobowiązań wynikających z porozumienia zawartego w listopadzie 2024 roku.

Spór zbiorowy w Siarkopolu trwa od 11 maja bieżącego roku. W sierpniu do rozmów włączył się mediator. Wcześniej, 7 maja, działacze Solidarności zorganizowali pikietę pod biurowcem Siarkopolu w Grzybowie, podczas której skarżyli się, że ostatnie podwyżki w firmie były trzy lata temu. S

46 LAT OD POROZUMIENIA DĄBROWSKIEGO

Pod pomnikiem upamiętniającym podpisanie porozumienia w Hucie Katowice zebrali się 11 września członkowie Solidarności na czele z wiceprzewodniczącym Maciejem Kłosińskim, sygnatariusze Porozumienia Dąbrowskiego: Jacek Jagiełka i Zbigniew Kupisiewicz, a także parlamentarzyści i reprezentanci władz samorządowych.

W liście do uczestników obchodów prezydent Karol Nawrocki napisał, że Porozumienie Dąbrowskie pozostaje w cieniu bardziej znanych porozumień: gdańskiego i szczecińskiego, choć odegrało doniosłą rolę.

Podkreślił, że robotnicy wydziałów Huty Katowice i innych zakładów skupieni w Międzyzakładowym

eprasa.pl ede876e26c


Fot. M. Żegliński

„Zakłady przemysłu drzewnego i meblarskiego przynosiły zysk w granicach 4 procent PKB rocznie. To mniej więcej tyle, ile wydaje się na zbrojenia”.

Zbigniew Kuszlewicz, szef Krajowego Sekretariatu Zasobów Naturalnych, Ochrony Środowiska i Leśnictwa NSZZ „Solidarność”, w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność” na Forum Ekonomicznym w Karpaczu, 8 września br.

Komitecie Robotniczym „z rozwagą sformułowali postulaty o charakterze socjalnym”. „I wreszcie jako pierwsi podnieśli kwestię rozszerzenia prawa do powoływania niezależnych związków zawodowych na całą Polskę. Tego prawa nie zagwarantowały Porozumienia Szczecińskie, Gdańskie ani Jastrzębskie. Wymagało to osobnych, trudnych negocjacji z komisją rządową. Ale to dzięki nim, dzięki zawartemu 11 września 1980 roku porozumieniu dąbrowskiemu, okazało się możliwe powołanie sześć dni później ogólnokrajowego niezależnego samorządnego związku zawodowego pod nazwą Solidarność – zaznaczył prezydent Nawrocki.

Podczas uroczystości odczytany został także list od Piotra Dudy. Przewodniczący Solidarności napisał w nim, że „są w historii Polski zdarzenia, które przypominają nam, że wielkie zmiany zaczynają się od odwagi zwykłych ludzi”, a podpisanie Porozumienia Dąbrowskiego w Hucie Katowice jest jednym z nich.

„To tutaj 46 lat temu robotnicy pokazali, że nawet w państwie, w którym przez lata odbierano ludziom prawa do decydowania o własnym losie, można powiedzieć: dość i upomnieć się o swoją godność” – podkreślił Piotr Duda w piśmie odczytanym przez swojego zastępcę Macieja Kłosińskiego.

„Niech pamięć o bohaterach Huty Katowice będzie dla nas źródłem siły i zobowiązaniem, by nadal walczyć o godność pracy, prawa pracowników i Polskę, w której głos obywateli naprawdę ma znaczenie” – zaapelował szef „S”.

34. BIEG SOLIDARNOŚCI

Niemal 800 osób ukończyło 34. Bieg Solidarności we Wrocławiu. Liczący 5200 metrów wyścig rozpoczął wystrzałem z pistoletu przewodniczący dolnośląskiej Solidarności Kazimierz Kimso. W kategorii mężczyzn jako pierwszy na metę przy Hotelu Wodnik dobiegł Arkadiusz Gardzielewski, olimpijczyk z Tokio. Z kobiet najlepsza okazała się natomiast Paulina Gaj.

Do sportowej rywalizacji przystąpiły także dzieci. Młodsi uczestnicy ścigali się na dwóch krótszych dystansach – 500 i 1000 metrów. Zarówno starsi, jak i młodsi sportowcy otrzymali pamiątkowe medale od organizatorów imprezy. Po wysiłku fizycznym wśród uczestników Biegu rozlosowano też nagrody w loterii fantowej.

PROTEST W SPRAWIE „SOLINO”

Działacze Solidarności protestowali 11 września przed warszawską siedzibą Orlenu, który jest właścicielem inowrocławskiej spółki „Solino”, w której od ponad 190 dni grupa pracowników prowadzi rotacyjny protest głodowy.

Przewodniczący Solidarności w „Solino” Jerzy Gawęda przekonywał w trakcie wydarzenia, że przez wiele lat nie inwestowano w firmę, a nawet przeciwnie – „wprowadzono mechanizm, który nazywamy kanibalizmem ekonomicznym”. – Od wielu lat zmagamy się z działaniami, które prowadzą w kierunku likwidacji całego tego kompleksu energetycznego – ocenił.

W czasie pikiety zorganizowanej przez Krajowy Sekretariat Górnictwa i Energetyki NSZZ „Solidarność” związkowcy przekazali przedstawicielom Orlenu petycję zawierającą sześć postulatów. Domagają się w niej m.in. zakupu zakładów Qemetica w Janikowie i Inowrocławiu na rzecz „Solino”, przekazania „Solino” wszystkich zawartych przez Orlen umów na przechowywanie ropy naftowej i benzyn w magazynach spółki oraz przedstawienia uzgodnionej z rządem strategii zagospodarowania złóż Lubień Kujawski, Damasławek i Łanięta na potrzeby podziemnego magazynowania, wraz z zatwierdzonym harmonogramem przygotowania i realizacji inwestycji.

– Bezpieczeństwo energetyczne nie kończy się na zakupie surowców. Państwo musi posiadać odpowiednią infrastrukturę do ich przechowywania oraz sprawnego uruchamiania zapasów w sytuacji kryzysowej. „Solino” dysponuje potencjałem, którego Polska nie może zmarnować. Obrona tego zakładu jest jednocześnie obroną miejsc pracy, krajowego przemysłu i bezpieczeństwa państwa – oznajmił przewodniczący Sekretariatu Jarosław Grzesik.

M.K.

Kalendarium Solidarności

24.09.1980 – w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie złożony zostaje wniosek o rejestrację NSZZ „Solidarność”.

eprasa.pl ede876e26c

Piotr Duda na RDS: „Rząd nawet nie próbuje pozorować dialogu społecznego”

Posiedzenie plenarne Rady Dialogu Społecznego poświęcone projektowi budżetu na 2027 rok odbyło się **10 września w Warszawie**. NSZZ „Solidarność” reprezentowali przewodniczący Piotr Duda oraz członkowie RDS z ramienia Związku.

Jakub Pacan



Fot. autor

Sytuacja geopolityczna, jak podkreśla rząd w uzasadnieniu do projektu budżetu państwa, stanowi poważne ryzyko, ale w projekcie nie założono żadnych działań osłonowych w sytuacji wzrostu cen energii, zarówno dla obywateli, jak i przedsiębiorstw.

Projekt budżetu przewiduje średnioroczną inflację CPI w 2027 r. na poziomie 2,8%. Jest to istotna zmiana w stosunku do wcześniejszych założeń makroekonomicznych z kwietnia 2026 r., kiedy rząd zakładał inflację wynoszącą 2,5%.

Wynagrodzenia w budżetówce

NSZZ „Solidarność” szczególnie krytykował zaproponowane w projekcie ustawy zmiany dotyczące wzrostu wynagrodzeń w państwowej sferze budżetowej (PSB) oraz propozycję wzrostu kwoty wynagrodzenia minimalnego w roku 2027. Niezadowolenie potęguje również fakt, że strona rządowa nie była skłonna do zmiany swojego stanowiska podczas negocjacji, szczególnie w obszarze wzrostu wynagrodzeń w PSB.

Rząd zaproponował wzrost wynagrodzeń w PSB oraz nauczycieli o 3%, a zatem realny wzrost zaledwie o 0,2%. Solidarność domaga się podwyższenia wynagrodzeń na poziomie co najmniej 15%. Związkowcy podtrzymują postulat wzrostu płacy minimalnej do kwoty 5200 zł.

Piotr Duda, przewodniczący KK NSZZ „Solidarność”, odnosząc się do lekceważenia strony społecznej przez członków rządu, powiedział: – Drugi rok z rzędu rząd nawet nie próbuje pozorować dialogu społecznego, jeżeli chodzi o minimalne wynagrodzenie i o wynagrodzenia w państwowej sferze budżetowej, bo to nie jest podwyżka, tylko dodatek inflacyjny. Dzisiaj w posiedzeniu powinien wziąć udział członek Rady Dialogu Społecznego, jakim jest pan minister Andrzej Domański. Niestety, nie ma go dzisiaj już po raz kolejny, co świadczy o tym, jak jesteśmy traktowani jako strona społeczna.

W swoich zapowiedziach rząd odstępuje od realizacji zwiększenia kwoty wolnej do 60 tys. złotych i na ostatnim etapie tworzenia projektu ustawy budżetowej proponuje niesatysfakcjonujące zmiany ustaw podatkowych. Solidarność opowiada się za zwiększeniem kwoty wolnej oraz za znaczącym podwyższeniem progów podatkowych, co przełoży się na wzrost dochodów dla dużej grupy obywateli, szczególnie osób niżej uposażonych, w tym emerytów i rencistów.

Według Solidarności wskaźnik waloryzacji emerytur i rent powinien wynosić nie mniej niż średnioroczny wskaźnik cen towarów i usług w 2026 roku, o którym mowa w art. 89 ustawy z dnia 17 grudnia 1998 roku o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (Dz.U. z 2025 r., poz. 1749), zwiększony

eprasa.pl ede876e26c

o co najmniej 50% realnego wzrostu przeciętnego wynagrodzenia za pracę w roku 2026.

Wymagające stanowczego sprzeciwu zastrzeżenie Solidarności dotyczy wysokości dotacji celowej z budżetu państwa przeznaczonej na dofinansowanie wynagrodzeń pracowników z niepełnosprawnościami. Na 2027 r. zaplanowano na ten cel zaledwie 81 mln zł, podczas gdy w projekcie na 2026 r. przewidziano 581,5 mln zł. Oznacza to obniżenie dotacji w ciągu jednego roku o 500,5 mln zł, tj. aż o 86,1%. Skala tej redukcji nie może być uznana za zwykłą korektę planu, stanowi ona niemal całkowite wycofanie się budżetu państwa ze współfinansowania podstawowego instrumentu wspierania zatrudnienia osób z niepełnosprawnościami. Należy zauważyć, że tak drastyczne ograniczenie udziału budżetu państwa w finansowaniu zatrudnienia pracowników z niepełnosprawnościami nie jest neutralne dla stabilności finansowej PFRON i zwiększa ryzyko ograniczania innych zadań Funduszu.

Od wielu lat toczy się dyskusja na temat opieki długoterminowej w Polsce oraz wieloletnich zaniedbań w tym obszarze. Związkowcy zwracają uwagę na problem z finansowaniem bonu senioralnego. W projekcie budżetu nie można odnaleźć pozycji klasyfikacji budżetowej, w której wyodrębniono 400 mln zł na bon senioralny i 19,23 mln zł na koordynatorów, a kwoty te wynikają wprost z obowiązującej ustawy.

Zero zł dla TK

Podczas posiedzenia poruszono sprawę budżetu Trybunału Konstytucyjnego. Piotr Duda odniósł się do sytuacji pracowników tej instytucji. W projekcie budżetu państwa nie przewidziano na nadchodzący rok żadnych środków finansowych dla TK. – Rozumiem, że z budżetem państwa można zrobić wszystko. Czy to oznacza, że od 1 stycznia 2027 r. pracownicy Trybunału Konstytucyjnego nie będą otrzymywać wynagrodzenia? Kompletnie nie rozumiem tego, że w pozycji budżetu państwa dotyczącej Trybunału Konstytucyjnego jest zero środków na 2027 r. – mówił Piotr Duda.

Reforma stażowa

W drugiej części posiedzenia plenarnego RDS rozmawiano o skutkach finansowych wdrożenia ustawy z dnia 26 września 2025 r. o zmianie ustawy – Kodeks pracy oraz niektórych innych ustaw (Dz.U. poz. 1423), tzw. reformy stażowej, i o przyznaniu dodatkowych środków finansowych z rezerwy celowej budżetu państwa na realizację przedmiotowej ustawy. Przewodniczący KK Piotr Duda już w kwietniu br. w piśmie do przewodniczącego RDS wnosił o przyznanie dodatkowych środków finansowych z rezerwy celowej budżetu państwa na realizację przedmiotowej ustawy.

Organizacje związkowe zrzeszone w NSZZ „Solidarność” już wtedy zgłaszały m.in. w urzędach wojewódzkich problem ograniczenia wypłat nagród wynikających z regulaminów urzędów wojewódzkich i wyrażały obawy dotyczące możliwości finansowych poszczególnych urzędów.

W toku prac nad budżetem na 2026 r. nie uwzględniono zwiększonych wydatków urzędów na wynagrodzenia będących skutkiem wprowadzonych zmian.

Rząd, chwaląc się poprawą sytuacji pracowników wynikającą z zaliczenia do stażu pracy dodatkowych okresów, uczynił to realnie kosztem pozostałych pracowników urzędów, a na reformę nie przeznaczył żadnych środków finansowych. Problem dotyczy nie tylko urzędów wojewódzkich, ale wszystkich urzędów administracji rządowej – także centralnych – i administracji zespolonej w województwach.

W czasie dyskusji padło pytanie, czy rząd zwiększy z rezerwy celowej lub z innych źródeł odpowiednie środki na zabezpieczenie skutków wprowadzonej nowelizacji, czy też koszty nowelizacji przerzucono wprost na pracowników? Przedstawiciel ministra finansów stwierdził, że w budżecie w rezerwie celowej nie ma i nie będzie środków na ten cel. Minister finansów nie widzi problemu, gdyż dyrektorzy generalni tak będą gospodarować środkami będącymi w ich dyspozycji, w szczególności oszczędnościami, by zabezpieczyć wypłatę należnych świadczeń.

> ***Drugi rok z rzędu rząd nawet nie próbuje pozorować dialogu społecznego, jeżeli chodzi o minimalne wynagrodzenie i o wynagrodzenia w państwowej sferze budżetowej.***
>
> **PIOTR DUDA, przewodniczący KK NSZZ „S”**

Głos zabrał Bartłomiej Mickiewicz, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”: – My te dane zebraliśmy, oszczędności nie ma. Jednostki nie mają wystarczających środków finansowych na fundusz wynagrodzeń. Urzędy czeka kolejny rok poszukiwania pieniędzy, jak zagwarantować finansowanie reformy. Pozostali pracownicy w praktyce finansują reformę ze swoich środków.

eprasa.pl ede876e26c

Solidarność ponad granicami

– historyczne tradycje i współczesne wyzwania

W 45. rocznicę przyjęcia „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej” historycy, związkowcy, politycy i eksperci ds. międzynarodowych będą dyskutować w Sali BHP o historycznych, ale także bieżących aspektach współpracy w Europie Środkowej. Patronat nad międzynarodową konferencją „Solidarność ponad granicami” objęła Kancelaria Prezydenta RP.

Adam Chmielecki

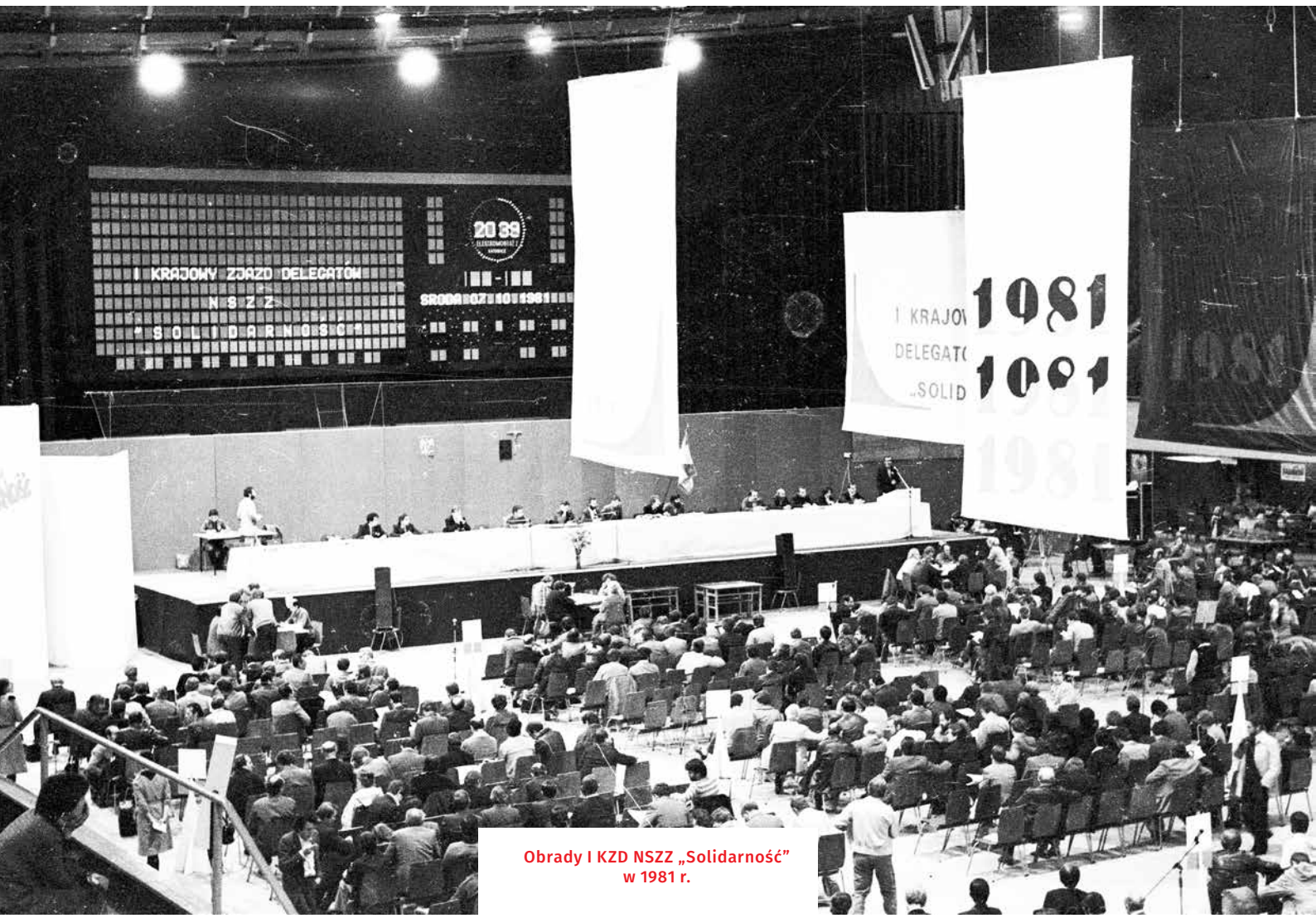

Obrady I KZD NSZZ „Solidarność” w 1981 r.

eprasa.pl ede876e26c

„POSŁANIE DO LUDZI PRACY EUROPY WSCHODNIEJ”

Delegaci zebrani w Gdańsku na I Zjeździe Delegatów Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” przesyłają robotnikom Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Rumunii, Węgier i wszystkich narodów Związku Radzieckiego – pozdrowienia i wyrazy poparcia.
Jako pierwszy, niezależny związek zawodowy w naszej powojennej historii głęboko czujemy wspólnotę naszych losów. Zapewniamy, że wbrew kłamstwom szerzonym w waszych krajach jesteśmy autentyczną, 10-milionową organizacją pracowników, powołaną w wyniku robotniczych strajków. Naszym celem jest walka o poprawę bytu wszystkich ludzi pracy. Popieramy tych z was, którzy zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy. Wierzymy, że już niedługo wasi i nasi przedstawiciele będą się mogli spotkać celem wymiany związkowych doświadczeń.

Gdańsk, 8 września 1981 r.

Organizatorem konferencji, która rozpocznie się 30 września o godz. 11 w historycznej Sali BHP w Gdańsku, jest Fundacja Promocji Solidarności, a partnerami wydarzenia są: NSZZ „Solidarność”, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Gdańsku oraz Instytut Międzymorza.

Rola Solidarności w dziejach całego regionu Europy Środkowej i Wschodniej jest bezdyskusyjna, ale nie zawsze dobrze znana. Warto przypominać kolejnym pokoleniom o tym historycznym wpływie na przemiany społeczne i polityczne w naszej części Starego Kontynentu oraz pokazywać – na fundamencie tych doświadczeń – możliwości współpracy nad rozwiązywaniem aktualnych wyzwań społecznych i gospodarczych. Wspólnota losów państw i narodów naszego regionu wciąż jest bowiem widoczna, chociażby w problemach cywilizacyjnych czy europejskiej polityce klimatycznej, która dotyka w największym stopniu właśnie państwa Europy Środkowej. Związki zawodowe z poszczególnych państw mogą być jednym z katalizatorów takiej współpracy nie tylko poprzez wzajemne kontakty, ale także przez swój potencjał mobilizowania opinii publicznej i wywierania presji na elity polityczne w poszczególnych państwach.

Od Bałtyku po Adriatyk

W konferencji „Solidarność ponad granicami” wezmą udział historycy i eksperci m.in. z Polski, Czech, Węgier, Białorusi, Litwy i Słowenii, w tym prof. Wojciech Polak, dr Grzegorz Majchrzak, węgierski historyk i dyplomata związany z Solidarnością Imre Molnár, znany polskim czytelnikom z łamów „Tysola” prof. Boštjan Marko Turk ze Słowenii, prof. Piotr Grochmalski, ekspert NSZZ „Solidarność” Yuri Ravavoi, posłowie Kacper Płażyński i Szymon Szynkowski vel Sęk (przewodniczący Grupy Parlamentarnej ds. Trójmorza), a także prezes Fundacji Promocji Solidarności Michał Ossowski i redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność” Rafał Woś.

Posłanie wciąż aktualne

Punktem wyjścia do konferencyjnych debat będzie przypadająca we wrześniu 45. rocznica I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” i przyjęcia przez ten „związkowy parlament” jednego z najważniejszych dokumentów w historii Związku – „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej”. Na początku lat 80. posłanie dało moralne wsparcie dysydentom i robotnikom w całym bloku wschodnim.

Przypomnijmy, że jesienią 1981 roku w gdańskiej Hali „Olivia” w dwóch turach (5–10 września i 26 września – 7 października 1981 r.) obradowało blisko 900 delegatów reprezentujących niemal 10 milionów członków i 37 regionów Solidarności. Było to prawdziwe święto demokracji, śmiało można stwierdzić – pierwsze w powojennej, totalitarnej i niedemokratycznej Polsce „ludowej”. Zjazd wybrał nowe stałe władze Związku, wprowadził zmiany w statucie i przyjął kilka kluczowych

Fot. Paweł Glanert

eprasa.pl ede876e26c

elementów, m.in. program „Samorządna Rzeczpospolita”, który obok listy 21 postulatów i Porozumień Gdańskich stanowił fundament programu Związku i postulowanej przez Solidarność społecznej gospodarki rynkowej. Gościem I KZD był gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, legendarny żołnierz, symbol walki o niepodległość Polski – w czasie I wojny światowej walczył w Legionach Polskich, później m.in. w wojnie polsko-bolszewickiej, wojnie obronnej w 1939 r. i w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie.

Tak jak obecność generała była symbolem polskich tradycji patriotycznych, w które wpisała się Solidarność, tak przyjęte czwartego dnia obrad 8 września 1981 r. „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej” można uznać za kolejny wyraz polskiej tradycji wolnościowej i solidarnościowej uznającej paradygmat suwerenności państw i narodów w Europie Środkowej i Wschodniej. Historyk prof. Andrzej Nowak uważa „Posłanie...” z 1981 r. za jeden z przejawów „polskiego apelu wolnościowego”, którego tradycje sięgają unii polsko-litewskiej i dynastii Jagiellonów, a który kontynuował później m.in. św. Jan Paweł II podczas pielgrzymek do Polski i innych państw regionu.

Przyjęcie „Posłania...” – jak wspominają inicjatorzy tego dokumentu i inni delegaci, m.in. Henryk Siciński i Bogusław Śliwa – było próbą reakcji na antyzwiązkową propagandę, którą skierowano przeciw Solidarności w PRL i całym bloku wschodnim. Stąd swoista „autoprezentacja” związkowców zawarta w dokumencie: „Jesteśmy autentyczną, 10-milionową organizacją pracowników, powołaną w wyniku robotniczych strajków. Naszym celem jest walka o poprawę bytu wszystkich ludzi pracy”. Delegaci przesłali również wyrazy poparcia dla niezależnych związkowców z innych państw obozu „demoludów”.

PROF. ANDRZEJ NOWAK UWAŻA „POSŁANIE DO LUDZI PRACY EUROPY WSCHODNIEJ” ZA JEDEN Z PRZEJAWÓW „POLSKIEGO APELU WOLNOŚCIOWEGO”, KTÓREGO TRADYCJE SIĘGAJĄ UNII POLSKO-LITEWSKIEJ I DYNASTII JAGIELLONÓW, A KTÓRY KONTYNUOWAŁ PÓŹNIEJ M.IN. ŚW. JAN PAWEŁ II.

Ogłoszenie treści dokumentu zostało entuzjastycznie przyjęte przez wielu członków Solidarności, ale wywołało obawy, a niekiedy wręcz panikę, praktycznie wśród wszystkich pozostałych odbiorców. Politycy na Zachodzie obawiali się, że sprowokuje to reakcję Kremla i być może da pretekst do zbrojnej interwencji w Polsce. Nie wiedzieli, że jesienią 1981 r. gotowe były już plany rozprawienia się z Solidarnością rękami polskich komunistów...

Rzeczywiście w Moskwie przestraszono się możliwego „eksportu” pokojowej rewolucji Solidarności. Przywódca ZSRS Leonid Breżniew uznał dokument za „prowokacyjny wybryk”, a oficjalny organ prasowy „Prawda” (sic!) za „otwarcie prowokacyjny i bezczelny wobec państw socjalistycznych”. Z kolei – jak pisze dr Grzegorz Majchrzak – brytyjski historyk Anthony Kemp-Welch, obecny podczas I KZD w Gdańsku, wspominał: „Dla mnie to był wyjątkowy moment w historii, kiedy w imię moralnych racji odrzucono ograniczenia zimnej wojny i konieczność prowadzenia Realpolitik, a zaproponowano sąsiednim narodom program solidarności”.

> ***Dla mnie to był wyjątkowy moment w historii, kiedy w imię moralnych racji odrzucono ograniczenia zimnej wojny i konieczność prowadzenia Realpolitik, a zaproponowano sąsiednim narodom program solidarności.***
>
> **ANTHONY KEMP-WELCH, autor książki „Polska pod rządami komunistów 1944–1989”**

I takiemu właśnie programowi solidarności poświęcona będzie konferencja 30 września w historycznej Sali BHP w Gdańsku.

eprasa.pl ede876e26c

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Cezary Krysztopa

Te straszne lektury

Wraca szkoła. Wraca dyskusja o lekturach. I nie mam tu akurat na myśli dyskusji na temat kanonu lektur, który minister deedukacji i debilowacenia uczniów regularnie kastruje, tylko naszą rodzinną dyskusję w ostatnich latach ze Średnim.

Czytanie książek uważam za jakiś swój rodzicielski sukces. Szczególnie ze Średnim właśnie. Od małego staram się z nim czytać książki. A w ostatnich latach (teraz ma 11) przerobiliśmy już i „Chłopców z Placu Broni" (dwa razy, pozdrowienia dla red. Agnieszki Gozdyry), i wszystkie części „Opowieści z Narnii", i „Hobbita", a eraz kończymy drugą część „Władcy Pierścieni". W kolejce czekają: trzecia część Trylogii J.R.R. Tolkiena, „Silmarillion" oraz „Cyberiada" i „Opowieści o pilocie Pirxie" Stanisława Lema.

Trochę czytam ja, trochę on. Młody autentycznie się tym cieszy. Żyje tymi historiami. Wspólnie płakaliśmy nad śmiercią Nemeczka w „Chłopcach z Placu Broni". Kiedy czytaliśmy „Hobbita", wyszukiwał w internecie, jak mogły wyglądać krasnoludy, a wszystkich towarzyszy Bilba umiał wymienić z pamięci. Teraz, kiedy kończymy „Dwie wieże", przeciąga sprawę ze spaniem, prosząc o przeczytanie kolejnych stron. Nie wiem, na ile się ten efekt utrzyma, ale jestem z niego dumny. W dzisiejszych czasach, szkoły Nowackiej i ogłupiania dzieci, wydaje mi się, że to spora wartość.

No, ale co roku mamy dyskusję o lekturach: „A po co te głupie lektury?", „A to nudne", „A to długie". Trochę cwaniaczy, przeciąga sprawę: „Biblioteka znowu była zamknięta", „Nie zdążyłem", „Zapomniałem", trudno nie odnieść wrażenia, że przeciąga po to, żeby było oczywiste, że tej lektury przeczytać nie zdąży i żebyśmy mu pozwolili poprzestać na bryku. Nie z nami te numery, ale jednak przepychanka bywa dość męcząca.

Może miałbym do niego o to większe pretensje, gdyby nie to, że doskonale to znam i sumienie mi nie pozwala. Nie pozwala, ponieważ ja robiłem dokładnie to samo. No, może nie dokładnie. Za moich czasów nie było bryków. Bywało tak, że czytałem z osiem książek jednocześnie, sięgając do kolejnych w zależności od nastroju. Science fiction, fantasy, astronomia i historia to krąg, w którym poruszam się do dzisiaj. Na biurku rośnie stos książek, które powinienem przeczytać, i drugi z tymi, które chciałbym przeczytać. Na jeden i na drugi mam za mało czasu, ale jeśli już go mam, to oczywiście sięgam po te, na które mam ochotę.

Natomiast lektury w szkole były dla mnie raczej męką. „Chłopcy z Placu Broni", „Krzyżacy", „Potop", „Cyberiada" to były książki, które wchodziły we mnie jak w masło, ale „Lalka", „Noce i dnie", „Chłopi"? O rany, jaka to była dla mnie męka... „Pan Tadeusz" również, ale po latach okazało się, że może mnie przyprawić o wzruszenie, tak jak Fredro o uśmiech.

Na razie oczywiście tego Średniemu nie powiem, nie chcę go demobilizować, ale kiedyś razem się z tego pośmiejemy.

eprasa.pl ede876e26c

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Wracamy do 2014 roku, kiedy Solidarność pikietowała przed ambasadą Rosji w Warszawie. Demonstracja miała zwrócić uwagę na sytuację na Ukrainie.

Tomek: – Tak, demonstracja solidarności z Ukrainą przyciągnęła do Warszawy związkowców z całego kraju. Pamiętam, że spotkałem tam m.in. osoby, które przyjechały aż z Rzeszowa.

– Nie byłam na tej pikiecie, ale widzę na zdjęciach z tego wydarzenia, że ludzi było bardzo dużo. Piotr Duda mówił wówczas, że sytuacja na Ukrainie to jest nasza wspólna sprawa, i odwoływał się do tego, że Polacy w czasie stanu wojennego także byli wspierani podobnymi gestami z zagranicy.

– Tak. I przewodniczący nie rzucał słów na wiatr, bo w 2022 roku Solidarność również, jak pamiętamy, bardzo mocno wsparła ukraińskich uchodźców.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl ede876e26c

PRAWO

Blik od września odrzuca niektóre płatności. CHODZI O NIELEGALNY HAZARD

Usłyszałem, że od początku września Blik odrzuca niektóre płatności. Podobno ma to związek z nielegalnymi serwisami hazardowymi. Czy rzeczywiście nie będzie można wykonać niektórych transakcji Blikiem? I czy oznacza to, że **każda nasza płatność** będzie kontrolowana?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Rzeczywiście od 1 września 2026 r. użytkownicy Blika mogą spotkać się z odrzuceniem określonej transakcji, ale nie oznacza to żadnej generalnej blokady tego systemu ani kontroli wszystkich naszych wydatków. Chodzi o płatności kierowane do internetowych serwisów hazardowych, które zostały wpisane do prowadzonego przez ministra finansów rejestru nielegalnych domen. Mechanizm wdraża Polski Standard Płatności, operator systemu Blik, po uzyskaniu zgody prezesa Narodowego Banku Polskiego. System będzie weryfikował domenę, z której pochodzi transakcja. Jeżeli znajdzie się ona w rejestrze domen służących do oferowania gier hazardowych niezgodnie z ustawą, płatność zostanie odrzucona. Nie oznacza to więc, że Blik będzie analizował każdą płatność i oceniał, na co wydajemy pieniądze. Weryfikacja dotyczy konkretnej kategorii transakcji związanych z podmiotami znajdującymi się w państwowym rejestrze. Zwykłe płatności za zakupy, jedzenie, bilety czy inne usługi nie są z tego powodu objęte generalną blokadą. To kolejny etap walki z nielegalnym hazardem w internecie. Do tej pory podstawowym narzędziem było przede wszystkim blokowanie dostępu do stron znajdujących się w rejestrze. Teraz dochodzi kolejna bariera, czyli możliwość dokonania płatności. Samo zablokowanie strony może bowiem okazać się niewystarczające, jeżeli użytkownik nadal może bez większych przeszkód przekazać pieniądze operatorowi takiego serwisu. Czy da się ją obejść? Oczywiście, że można próbować. Podmiot, który chce przyjmować pieniądze mimo blokady, może szukać pośrednika, korzystać z innej domeny czy wykorzystywać inne rozwiązania płatnicze. Tyle tylko że właśnie o to w takich zabezpieczeniach chodzi. Nie istnieje system, którego nie da się w żaden sposób próbować obejść. Istotne jest natomiast to, ile wysiłku, pieniędzy i ryzyka będzie wymagało takie obejście. Z punktu widzenia zwykłego użytkownika jest to więc kolejna warstwa ochrony. Jeżeli nielegalny serwis ma utrudnione przyjmowanie pieniędzy, jego działalność staje się trudniejsza i bardziej ryzykowna. Każdy dodatkowy pośrednik czy sposób przekazywania środków oznacza również kolejne miejsce, w którym można wykryć nieprawidłowości. Nie jest to zatem rozwiązanie, które nagle wyeliminuje internetowych oszustów czy nielegalny hazard. Jest to jednak kolejna przeszkoda postawiona na ich drodze. W praktyce właśnie z wielu takich przeszkód buduje się skuteczny system ochrony użytkowników i bezpieczeństwa obrotu finansowego. Warto też pamiętać, że skuteczność takich rozwiązań zależy nie tylko od technologii, ale również od szybkości reagowania na nowe sposoby obchodzenia zabezpieczeń. Dla użytkownika najważniejsze jest natomiast to, że zmiana ma ograniczyć możliwość łatwego przepływu pieniędzy do podmiotów działających niezgodnie z prawem.

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl ede876e26c

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA



Nasi autorzy

Barbara Andrijanić (Człowiek..., s. 40),
zajmuje się sztuką, kulturą i duchowością. Pisze ikony.

Bartosz Boruciak (Chcemy..., s. 44),
w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko chimerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Piotr Łopuszański (Stulecie..., s. 48),
pisarz i publicysta. Autor książek z literatury faktu i biografii. Współpracuje z „TS" od ponad 20 lat.

Szczepan Ruman (Odbić się..., s. 16),
jest przewodniczącym zespołu ekspertów ds. energetyki i bezpieczeństwa Polskiego Towarzystwa Gospodarczego. Ukończył studia menedżerskie w szkołach biznesu w Barcelonie (IESE) i na Uniwersytecie Pensylwanii. Był prezesem Świętokrzyskiej Grupy Przemysłowej Industria. Współautor audycji „Klub Przyjaciół Metali Ziem Rzadkich" w Radiu Wnet.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl ede876e26c


RP
Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Karola Nawrockiego
NNW
Wojciech Korkuć
18. FESTIWAL FILMOWY NNW
1-4.10.2026
GDYNIA
WSTĘP WOLNY
ORGANIZATORZY
SCENA KULTURY
GDYNIA
unesco
WSPÓŁFINANSOWANIE
POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ
PARTNER GENERALNY
GRUPA CEDROB
PARTNERZY
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
Muzeum Powstania Warszawskiego
PATRONI MEDIALNI
Radio Wnet
SIECI
Rzecz
idziemy
Gość
Czas
nasze miasto.pl
BIULETYN IPN
wPolsce24
City Poster
Rakowiecka 37
wPolityce.pl
tysol.pl
wm.pl

eprasa.pl ede876e26c

Międzynarodowa konferencja

SOLIDARNOŚĆ PONAD GRANICAMI

w 45. rocznicę przyjęcia „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej” przez I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”



Historyczne tradycje i współczesne wyzwania w Europie Środkowej i Wschodniej

Gdańsk, Sala BHP ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6

30 września 2026 r. godz. 11.00–16.30

WSTĘP WOLNY

Patronat

KPRP Patronat Kancelarii Prezydenta RP

Organizator:

Fundacja Promocji Solidarności

Partnerzy:

NSZZ Solidarność

Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Gdańsku

Instytut Międzymorza

Patroni medialni:

Tygodnik Solidarność

tysol.pl

SIECI

wPolityce.pl

wPolsce 24

Do Rzeczy

trojmiasto.pl